SEWER.

WYBÓR PISM

MAMA SOBIE ŻYCZY.

NOWELA.

ZIELONA LATARKA.

NOWELA.

WARSZAWA.
Nakład „WĘDROWCA".
Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.

1902.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Октября 1902 г.

MAMA SOBIE ŻYCZY.

NOWELA.

Jedna biała zarumieniona róża w popielatych włosach, jeden cień smutku na bladem czole, promienie nieprzygaszonego ognia w czarnych źrenicach, nozdrza lekko rozwarte dla przytułku energii, i zapomniany uśmiech na bladych ustach, wązkich, dziwnie wykrojonych, które w przelocie układając się do pocałunku, zastygły w formie pogardy. Zdaje się, że pragną całować, a tymczasem gardzą, uśmiechając się.

Widzieliście takie usta na marmurowej twarzy, długą szyję i ukute ramiona, smukłą kibić, okrytą białym jedwabiem, brylantową spięte klamrą, białe gazy, przetykane srebrem, jak przytulone westchnienia, lub niezapomniane myśli?

Światło wydobywa gorejące blaski tęczowe z rozrzuconych kamieni i pałających oczu. Kamienie i oczy, białe ciało, jedwab i koronki—

czarne fraki, kwiaty i fontanny — w przestrzeni muzyka walca z Fausta kołysze powietrze, rozmarza kołyszące się myśli. Ręka obejmuje wiotką kibić, mimowoli posuwamy się za dźwiękiem muzyki, w pewien nieokreślony takt układają się nasze marzenia, serce mocniej bije, a białe łona wznoszą się falą.

W rogu drugiego salonu, oddzielonego portykiem z filarów, obok palm, cyprysów i kamelij, skrywających grotę, po której krople wody spływały cichemi łzami, stał młody człowiek, oparty o marmurową framugę. Patrzał goniąc myśli własne, które się snuły po bladych piaskach, zaglądały do ciemnych lasów, rozbijały o czarne Tatr skały. Muzyka drażni fantazyę, ta tworzy coraz nowe obrazy.

Zarumieniona biała róża majestatycznie wśród tłumu zbliża się do portyku z filarów, przesunęła wzrok przez grotę, obojętną kamelję, smutny cyprys, zatrzymując go na smutniejszej twarzy obcego. Spojrzenie przeciągnęło się dość długo, przez usta przebiegł uśmiech, który je więcej jeszcze w przedłużeniu wygiął smutkiem, wzrok zwolna zwrócił się do groty, po czole przemknęła chmurka, w oczach coś zamajaczało i znów ich promienie zamigotały na bladej twarzy zamyślonego, zajrzały w zapatrzone jego oczy.

Walc, nieustający walc głowę zawraca, serce kołysze—dżentelmen się zbliża, zarumieniona róża opiera odkrytą rękę o ramię czarnego fraka—utonęli w wirze.

Młody człowiek nic nie widział, a jednak uczuł lekkie wzruszenie. Promienie oczu patrzącej przecięły jego łuk spojrzenia, złamały myśli. Ocucił się, spojrzał w około siebie i powoli przeszedł do portyku.

Walc, nieustający walc rozmarza, kołysze, upaja.

Zarumieniona róża powraca i marmur lic zarumieniony, piersi rozkołysane przyspieszonym oddechem. Spojrzała. Młody człowiek już patrzał.

— Któż on jest? — pomyślała, i dziwny uśmiech przemknął błyskawicą.

— Czyż to ona?—pytał siebie i uśmiechem zwątpienia usta mu zadrgały.

Stanęli obok siebie, spojrzenia skrzyżowały się raz jeszcze. Ktoś trzeci się zbliża, rozmowa łączy nieznajomych i w rezultacie razem ich splata w walcu z Fausta. Muzyka pośrednikiem, ona często dostraja w jeden ton myśli nasze. Muzyka walca zawraca głowę i serce kołysze. Ucichło, i jak pod zaklęciem rozwiały się mary.

— Któż smutek swój roznosi wśród wrzawy i wesołości?

— A któż w uśmiechu przynosi niechęć?

— Można przyjść, patrzeć i uśmiechać się.

— Można przyjść, szukać i smutnym być, gdy się nie znajdzie.

— Pan szukasz tu?

— Pani się tak dziwnie uśmiechasz, gdy tu jest tylko miejsce na uśmiech wesołości lub przebaczenia.

— Przebaczenia—usta się zacisnęły, w oczach zaświecił ogień — przebaczać, gdy się jest młodą.

— Przebaczać jednostkom, a mścić się na masie.

— Gardzić masą, a mścić się na jednostkach.

— Przeciwnie.

— O czem my mówimy?

— O uśmiechu, zemście, przebaczeniu i ludzkości.

— Jak zawsze o wszystkiem... Czy pan byłeś na ostatniem przedstawieniu Patti?

— Nie, pani.

— Ach, jak jest gorąco.

— Istotnie.

— Wybornie się bawią... świetne toalety.

— Uśmiechnijmy się pani razem.

— Dlaczego?

— Bo ja nie znalazłem, a pani nie masz

się mścić na kim; uśmiechaj się jak zwykle i zawsze.

— Kogo on szuka i dlaczego dotąd nikogo nie znalazł?—myślała biała róża.

— Na kim chce się mścić ta blada i dumna?

— Może nie umie szukać.

— Może to tylko zemsta rozpieszczonego dziecka.

— Czyż tylko nie umie szukać?... przecież można znaleźć.

— Pewno to kaprys na długość jednego wieczoru... a jednak zemsta tyle co wytrwałość, odwaga, moc charakteru.

— Szukać.... zagadkowe słowo; szukać, to tyle co pragnąć, cierpieć z pragnienia, szukać, to znaczy być samotnym.

Tłum rozdzielił ich jak fale morskie, i znów siłą naturalnej atrakcyi zbliża u portyku z marmuru. W około rozmowa krótka, urywana, pospolita, czasami haftowana tęczowemi nićmi dowcipu i perłami; perły zostają za kolarami ust. Szelest materyi, szept słów i wyrazów, kwiaty, róże i uśmiechy, piękniejsze nad kwiaty.

— Pan tańczysz kadryla?

— Nikogo nie znalazłem.

— A ja nie chciałam znaleźć.

— Tańczmy zatem razem; ja na chwilę

przestanę szukać, a pani przez chwilę mścić się i dokuczać możesz.

— Czy pan to uważasz za miłą rozrywkę?

— Za bardzo przyjemną, podobną do zabawy małych dziewczynek, które powolutku, delikatnie a długo wyciągają piórka złapanemu ptaszkowi, oskubują go i puszczają na wolność, gdy już latać nie może.

— Zawsze to mniej, jak szpilką chrząszcza przekłuwać.

— My jesteśmy okrutni z dzikości lub potrzeby.

— A my z nudów lub dla przyjemności?

— W każdym razie dla rozrywki.

Kadryl, potpourri z wszystkich oper, pary szeregują się, przesuwają, cicho goniąc za taktem muzyki, łączą się razem, rozchodzą i znów wracają. Wieńce z kwiatów na ciemnem lub jasnem tle fantastycznie ułożonych włosów, a między nimi biała, zarumieniona róża królową.

— Pan uśmiechasz się z radości?

— Czy dla pani muzyka nie jest także przypomnieniem?

— Zatem masz pan wspomnienia?

— Z Włoch i muzyki włoskiej.

— Przyjemne?

— Nawet drogie, pani.

— Więc czegoż pan szukasz?

— To tylko wspomnienia poszukiwań.

— Które zawiodły... nie lubię zawodów.

— Nie mniej mogą być drogie. Czyż poszukiwanie dzisiejszego wieczora nie będzie także zawodem, a jednak wspomnienia nie będą nieprzyjemne.

— W jakim względzie?

— Lubię namiętnie walca z Fausta.

— A ja nie lubię filozofów przebranych za młodzików, jak nie znoszę samego użycia.

— A ja lubię „Purytanów“ i dlatego lubię czwartą figurę kadryla.

— Może pan jesteś także purytaninem?

— Zawsze, gdyby purytanizm prowadził do celu.

— Odpowiedź zagadkowa.

— Wprost na pytanie.

— Niejasna... Zostawiam pana samego, dając mu czas do namysłu — mówiła zarumieniona róża, przechodząc w piątej figurze do drugiej pary.

— Czy pan wszystko poświęcisz dla celu?

— Wszystko, prócz serca i przekonań.

— Niewiele zatem zostaje.

— Dosyć, aby iść naprzód.

— Lecz nie dosyć aby dojść.

— Idźmy tylko.

— Chodźmy, odprowadź mię pan do mamy.

— Wszystko skończone?

— Tylko kadryl.

— Nie nudzisz się, moje dziecię?

— Zgaduję zagadki, mamo.

— I uśmiechasz się?

— Zapytania były wesołe, ztąd uśmiech na ustach pani.

— Mamo, mister ***

— Sir dawno jesteś w Londynie?

— Od trzech miesięcy.

— Dobrze się bawisz?

— O ile dobrze moja mamo można się bawić w nieustannem poszukiwaniu.

— To zależy moje dziecię od przedmiotu poszukiwań.

— I od trudów, pani, jakie sobie zadajemy szukając.

— I od gorączki z niecierpliwości przy szukaniu, nieprawdaż?

— Czy chcesz mi dokuczać?

— Dokuczać? — powtórzyła cicho matka zarumienionej róży—dokuczać?

Szlachetne, delikatne rysy zajaśniały miłością.

— Matko, nie bierz tak do serca każdego wyrazu swego rozpieszczonego dziecka.

— Rozgrymaszonego, chciałaś powiedzieć.

— Pieszczotą.

— Sir, strzeż się rozgrymaszonych.

— Jeżeli kaprysy, jak zwykle podnoszą piękność, lubię je wyzywać.

— Chciałbyś pan często widzieć kaprysy?

— Zawsze one zdradzają fantazyę, a fantazya gdy ma formę, staje się twórczą, a gdy ma piękną formę, sztuką piękną.

— Tyle słów dla oznaczenia jednego wyrazu.

— Jakiego?

— Należało powiedzieć: nie znoszę kaprysów, gdyż one są tylko sztuką.

— Przeciwnie, ja wierzę w prawdę kaprysów, gdy one są sztuką piękną, bo przecież piękno jest prawdą.

— Filozofia na balu.

— Chociażby dla kontrastu.

— Może sir szukasz kontrastów?

— Życie, sympatya, harmonia, złożone z kontrastów.

— Czy jeszcze zostajemy, moje dziecię? gdyż przyznam się, jestem już zmęczona gorącem.

— Jedźmy, mamo; boję się, abym nie zaczęła słuchać wykładu filozofii. Zostawiam pana poszukiwaniom.

— Już nie szukam.

— Straciłeś pan nadzieję?

— Na dzisiaj.

— I cofasz się?

— Odchodzę.

— Podaj mi sir okrycie.

— Czy pani pozwolisz zapiąć je?

— Ostrożnie.

Zapinał i ręce mu drżały, czyż to jego wina?

— Służący zapomniał o twych bucikach, Ado.

— Włożę je w powozie.

— Moje dziecko, zaziębisz się.

— Moja mamo.

Młody człowiek przyklęknął.

— Zechciej pani oprzeć rękę o moje ramię.

— Więc pan znalazł nareszcie—buciki?

— Jako jeden listek czterolistnej koniczyny.

— Mamy i legendę.

Atłasowy trzewiczek i jedwabna pończoszka okryte.

— Rycerzu, czem ci wynagrodzę twoją rycerkość? nie mam szarfy.

— Szarfa upoważnia walczyć w imieniu swej damy; czy pani mi pozwolisz nosić swój kolor?

— Szarfa upoważnia do błędnych podróży i poszukiwań.

— Szarfa nakazuje z podróży wrócić lub poledz.

— Róża mi przeszkadza pod okryciem... weź ją rycerzu z życzeniem, abyś przed jej zwiędnięciem odszukał; ona nie nakazuje powrotu.

Zarumieniona róża została w ręku młodego człowieka, a róża bez rumieńca, blada, spokojna, zamyślona, zniknęła w mgle.

Odgłos muzyki, turkot kół i iskry z podków koni, zarumieniona róża, potem cisza i ciemność jak tajemnica.

* *

*

Na bladem angielskiem niebie złote słońce oświeca długą aleję Hyde-parku.

Wielki Achiles odlany z dział francuzkich, i długa kolumnada dwóch bram otwierają wejście.

Droga obejmuje staw, biegnąc horyzontalnie, na wzgórzu stroi się w przeźroczystą gazę mgły i spada u podnóża pomnika księcia Alberta.

W alei konie, na koniach amazonki, drze-

wa rzucają cień, promienie słońca ozłacają szarawy koloryt pejzażu.

Na karym koniu z białą pęciną, galopem z prawej nogi jechała amazonka. Czarny kapelusz męzki, kołnierzyk dżokiej-klub i pejcz w ręce, okrytej ciemną rękawiczką. Ten sam niezapomniany uśmiech, ta sama bladość lic i nieprzygaszony ogień w źrenicach. Powaga i smutek na twarzy, gniew w oczach.

W tłumie jeźdźców jeden rzut oka odróżnił młodego człowieka, z białą, zarumienioną różą w pętlicy. Koń dostał ostrogę, poskoczył, z dumą wstrząsając głową, z nozdrzów para, a w oczach jego przebaczenie dla swej pani.

— Ja i mój Hektor witamy cię, sir.—Amazonka wyciąga rączkę do uścisku. — Zginąłeś, przepadłeś.

— Tak jak ginie kamyk, rzucony do wody, lub liść opadły z drzewa.

— Sentymentalne porównanie.

— Nie mniej przeto prawdziwe.

— Sentymentalizm może być prawdą, zawsze atoli nie przestanie być słabością.

— Słabością smutku i tęsknoty.

— Czuję, że sentymentalizm wdziewa już czarny płaszcz melancholii, to okropne. — Zkąd pan powracasz? z pustyni?

Konie dwojga młodych ludzi wyrównały się, jadą stępo.

— Z pustyni gorących pragnień i niemożności.

— Szkoda, że sir nie jesteś podobny do naszego lorda, i gdybyś kulał...

— Moja fantazya za to kuleje, moje myśli...

— Wyzywasz pan na komplementa. Twoja fantazya urocza, nawet niebezpieczna.

— Czy tak?

— Radzę ci ją ukrywać, aby nie robić nieszczęśliwych.

— Nie lubisz pani zatem filozofii i fantazyi.

— Boję się ich tylko, a nawet przeczuwam, że sir jesteś poetą.

— O tyle, o ile świat jest uczuciowy.

— Zwątpienie i rozczarowanie, nie wierzysz pan w serce?

— Przyznam się, iż pytanie zbyt ogólnikowe i dlatego trudne do rozwiązania; można go zbyć jednem słowem, lub całe tomy traktatów pisać.

— A więc rozwijaj pan traktaty.

— Nie mogę... boję się, abym się nie stał niebezpieczny.

— Chcesz zatem milczeć z litości.

— Aby tylko nie być strasznym.

— Chcesz powiedzieć: aby się nie stać

mordercą naszych biednych serc. Dziękuję ci w imieniu mojem i towarzyszek.

— Przyjmuję podziękowanie, gdyż ono z serca pochodzi, chociaż nie o sobie mówiąc myślałem.

— O kimże?

— Pani nie mnie się boisz, lecz filozofii i fantazyi,

— Pańskiej?

— Sądziłem, że w ogólności jesteś pani nieprzyjaciółką fantazyi.

— Polotu oderwanych myśli, twórczości uczucia, wszystkiego, co tym jednym wyrazem oznaczamy.

— Mówiłaś pani, że ich się boisz, gdyż są osoby, których straszy niezwykłość.

— Powiedziałeś pan grzecznie, że należę do ludzi, dla których pospolitość i powszedniość są ideałami.

— O ideałach nic nie mówiłem, ideał jest to cel oddalony lub blizki naszych pragnień.

— Jakiż pan masz ideał na dzień dzisiejszy?

— W obecnej chwili jestem u jego szczytu.

— Czyli... po dobrem śniadaniu użycie przejażdżki.

— Myślałem o towarzystwie.

— Jesteś pan o tyle zręczny, o ile dobry ogrodnik.

— Z rozkazu.

— Jak to?

— Otrzymałem rozkaz, aby róża nie zwiędła przed odszukaniem.

— Życzenie tylko.

— I oto jest dowód, że jeszcze nie znalazłem.

— A gdy pan znajdziesz, cóż się stanie z różą?

— Róża zwiędnie, uschnie, rzucę ją do wody, zapomnę, jak spełniony czyn, jak oddaloną usługę, wyświadczoną pomoc, zużytą przyjaźń.

— Ach, to okropne.

— Zwyczajne, a jak pani mówisz, powszednie.

— Czy to jest norma pańskiego postępowania?

— Nie chcę się przedstawiać jako oryginał, nie chcę się wyróżniać, aby nie być śmiesznym.

— Pospolitość bierzesz pan za podstawę.

— Za podstawę biorę zwykły charakter ludzi.

— Egoizm.

— Tak go nazywają.

— Więc czego pan szukasz i kogo?

— Czego ja szukam i kogo... Na kim pani mścić się pragniesz?

Amazonka zadrżała.

— Czyż ja o zemście mówiłam?

— Kiedyś, tak mi się zdawało.

— Toby przecież nie było powszednie.

— Zwykle szukamy nadzwyczajności.

— A znajdujemy pospolitość.

— Uważamy się wtedy za zdradzonych i mścimy się za zawody.

Koń amazonki dostał pejczą, biedne zwierzę przerażone stanęło dęba; jeszcze jedno uderzenie, rzuca się w bok, chrapie nozdrzami, wyrzuca piasek nogą, gniewa się, nareszcie milczy, słucha i przebacza, jak stary mąż.

— Jak to wygodnie mieć ugłaskanego konia.

— Gniewa mię jego powolność.

— Obraża panią dobroć i przywiązanie, to naturalny los zakochanych.

— Pan nigdy nie będziesz w tem wyjątkowem położeniu?

— I dlatego może nie będę bity.

Hektor dostaje rozkaz... wyrusza galopem.

— Czy pani tak pospiesznie szukasz zmiany towarzystwa?

— Przecież nie pożegnałam pana.

— Ach prawda, nie powiedziałaś pani: idź precz.

— Ada dziś gniewa się na swego Hektora.

Tak mówiły trzy amazonki, dopędzając w galopie parę młodych ludzi.

— Drażni mię i gniewa.

— Hektor może gniewać? to najposłuszniejsze zwierzę?

— Można gniewać domyślnością w posłuszeństwie.

— Nikomu dziś domyślności nie przyznaję.

— Nikt nie śmie o nią się upominać.— Wracam do siebie, grom mój słaby, nie towarzyszy mi.

— Pozwolisz pani podać sobie rękę przy zsiadaniu?

— Nie mam czem wynagradzać usług rycerskich.

— Róża wystarczy, jeszcze nie zwiędła, zresztą jestem rycerzem, który niczego nie żąda.

— Zatem pańska dewiza bez żądz i nagród, a wszystko robisz dla siebie.

— Słucham tylko własnej fantazyi.

— Pan sądzisz, że ona także i drugim podobać się musi?

— Nie sądzę, szanując osobistą wolność.

— Pan również we wszystkich stosunkach życia umiałbyś uszanować drugich?

— Jest to dla mnie prawidło bez wyjątków.

— A jeżeliby wypadało poświęcić się?

— Nie znoszę poświęcenia niewolnika.

— A przyjaciela?

— Wtenczas jest ofiara własnej fantazyi.

— Fantazya jest rzeczą bardzo przyjemną, bo jest przedewszystkiem wolnością.

— Pańskie poezye muszą być rozrywane.

— Z powodu?

— Bogactwa fantazyi i oryginalnych zwrotów.

Koń amazonki zatrzymał się przed jednym z okazałych domów. Młody człowiek zeskoczył, rzucił lejce przechodzącemu chłopcu, przybliżył się do Hektora, obwinął w amazonkę małą nóżkę, oparł ją o własną rękę i lekko się zniżając, pozwolił łatwo zstąpić na ziemię dziewczęciu.

Drzwi domu się otworzyły, wybiegł służący odebrać konia.

— Uśmiechnijmy się razem, bo ja nie znalazłem, a pani nie masz się mścić na kim?

— Nie mam się mścić na kim?

— Gdyż zwykle jesteśmy wspaniali dla zwyciężonych.

— Pan lubisz się śmiać?

— Najczęściej wtenczas, gdy serce w kawałki pęka.

— Poetyczne wyrażenie, aby nic nie odpowiedzieć.

— Poezya jest pięknością życia.

— Ale nie jest prawdą.

— Bo jest za bladą do odmalowania jego boleści.

— Jego. boleści i śmiechu szyderstwa. Żegnam pana.

— Addio!

Młody człowiek siadł na konia i jadąc stępo, obejrzał się na skręcie. Zdawało mu się, że w oknie balkonu zobaczył amazonkę.

Istotnie stała zatopiona w myślach.

— Jakaś tajemnica smutku i goryczy osłania go—szepnęła—trudno odkryć zasłonę. Gniewa mię często, a jednak ciężko o nim zapomnieć, staje mi w myśli—porzucam go a wraca.

* * *

„Don Juan“ Mozarta, nieskończona pieśń myśli ludzkiej, nieskończona harmonia tonów, złączona rozkazem geniuszu. Na scenie Faure i Zorylla-Patti, w teatrze tłum.

Orkiestra zalewa wezbranym potokiem harmonii, unosząc na swych falach pieśń płynącą ze sceny.

Zorylla gniewa się na narzeczonego, stroi minki, grymasi, odwraca się, muzyka pie-

szczotliwie przedrzeźnia ją, żartuje sobie z wieśniaczej pary, śmieje się, pomaga i prowadzi do zgody i przebaczenia. Przebaczenie, radość — muzyka tęskni za Zoryllą.

— A ja—pani—tęsknię za muzyką.

— Pan jesteś zdolny tęsknić?

— Można mieć zdolność tęsknoty, a nie czuć potrzeby użycia swych zdolności.

— Utrzymujesz pan zatem, że nie jesteś zdolny uczuć potrzeby jej użycia.

— Najlepiej, pani, robić wszystko, rozumie się piękne i dobre, bez konieczności uczucia potrzeby, robić dlatego, że inaczej robić nie możemy i nie umiemy.

— A ten frazes z jakiej dziedziny nauki?

— Z piękna i prawdy.

— Sądzisz pan, że tak mógłby się wyrażać Don Juan?

— Lubisz go pani?

— Jestem tylko zdolna gardzić podobnym charakterem.

— Można gardzić, a mimo to mieć zawsze słabość.

— Można gardzić i nienawidzieć.

— A ja mam litość i sympatyę dla zdradzonych, gdyż wierzę, że oni jeszcze zawsze kochają.

— I sympatyę?

— Sympatyę, do jakiej ma prawo każde sieroctwo, sympatyę dla opuszczonych i cierpiących.

Nasza piękna dziwnie się zamyśliła, podnosząc zadumane oczy na młodego człowieka.

— Róża pani zbladła, moja zawsze zarumieniona—nadzieją.

— Czy widzisz, moje dziecię, jak szczególnie księżniczka Beatrycze ma uczasane włosy?

— Po grecku, pani.

— W jakim stylu? panie profesorze.

— Nie jestem w stanie rozróżnić, zaledwo zdecydowałbym się określić go ze zwojów warkoczy na główce pani.

— Słucham.

— O ile mi się zdaje, jest to genre Antygony.

— Dziwnie się pan uśmiechasz, a ja nie przypominam sobie historyi.

— Uśmiecham się, pani, z żalu nad sobą.

Dyrektor orkiestry zastukał pałeczką o budkę suflera, młody człowiek wyszedł — muzyka odezwała się, kurtyna odsłania pomnik komandora, widzowie czekają z bijącem sercem chwili porwania Don Juana do piekła.

Biała róża pochyliła się, ciemne oczy uzbrojone w szkła, ciekawie spojrzały ku krzesłom, patrzały długo, nikt się nie obracał. Lornetę

położono na balustradzie, oczy nieruchomie utonęły w przestrzeni — blada twarz i smutny uśmiech.

* *
*

Obok salonu budoar wysłany zielonym dywanem, zielone portyery, przeszywane złotem, na wpół odsłaniały jego wnętrze.

W salonie drzemały szlachetne, dobrotliwe rysy matki Ady, drzemały nad książką. Budziła się dobra kobieta, aby spojrzeć do budoaru, i zamykała oczy, aby zadrzemać z odbitym obrazem. Przywiązanie do swego dziecięcia po za niem nic, przepaść, koniec świata, z niem nawet cierpienie radością, upojenie w poświęceniu. Otwierała oczy, aby je zobaczyć, i zamykała, aby je w ciemności widzieć.

A w budoarze—sztalugi, na nich rozwieszone płótno olejnego obrazu. Przed obrazem niebieska sukienka z białymi wyłogami, popielate włosy uczesane a la Antygona, ozdobione jedną zarumienioną różą. Biała ręka trzyma paletę, w drugiej pędzelek dobiera farb; zamyślenie na czole, w oczach spokój i rezygnacya.

— Utrzymujesz pan, że koloryt zbyt nie-

bieski?—nie odrywając oczu od palety, mówiła Ada do młodego człowieka.

— Utrzymuję, iż koloryt, gdyby był więcej przezroczysty w lazurze i więcej głęboki, byłby kolorytem Perugina,

— Ja nie jestem Rafaelem i moim mistrzem nie był Perugino.

— Masz pani za to dziś perspektywę, sposoby, sztukę, światło i cienie rozłożone na gradusy, obliczone na milimetry.

— I tem każesz mi pan zastąpić brak poczucia i twórczości?

— Radzę jedno z drugiem połączyć.

— A jeżeli nie ma ani jednego ani drugiego?

— Pracować lub rzucić.

— A zatem przekreślmy przeszłość i dajmy pokój.

Miss z szybkością błyskawicy robi ukośną kreskę złotawą farbą przez całą długość obrazu.

— Otóż mamy i złoty ton — rzekł ze spokojem młody człowiek — wprawdzie zbyt silny, może nam się jednak uda złagodzić jego gniew i siłę, rozprowadzić, zharmonizować, ożywić tchnieniem miłości i ciepła, gdyż to złoty promień światła.

Młody człowiek wyciągnął rękę po paletę, oddano mu w milczeniu, zabrał pędzelki, nie

broniono ich, zabierał laseczkę do oparcia ręki, podano ją, usiadł, zbierając delikatnie złotawą farbę, rozświecał ją, rozjaśniał, rozbielał, wydobywając biały promień światła.

— Pan profesor wszystkim sztukom pięknym hołdujesz?

— Zawsze malarstwu więcej niż poezyi, o którą raczysz mię pani posądzać.

— Nie pisałeś pan nigdy wierszy?

— Któż nie składa rymów w ośmnastym roku i kto się wtedy nie kocha?

— Kochałeś się pan zatem już raz?

— Nawet i dwa.

— I zapomniałeś?

— Zapomniano o mnie, a ja się uśmiechałem.

— I przebaczyłeś?

— Owszem, byłem wdzięczny.

— Za co?

— Że mię zapomniano prędzej, zanim mogłem się przywiązać.

— Czyż to można się kochać prawdziwie więcej niż raz?

Młody człowiek odrywa oczy od pejzażu, miss nie śmie znieść jego spojrzenia i odwraca główkę.

— Można—odpowiada z powagą.

— I wierzysz pan w to, co mówisz?

— Najzupełniej.

— I mówisz pan tak spokojnie.

— Bo dlaczegoż mam być niespokojny?

Młody człowiek przestaje pracować.

— Moje dzieci — odezwał się głos z salonu — jak będzie skończone, proszę mnie przywołać.

— Mama mówi—zauważył młody człowiek.

— Ach, mamo, jeszcze długo; zepsułam, pan Juliusz poprawia. nadając wszystkiemu arystokratyczny ton.

— Może za bardzo kaprysisz?

— Okropnie.

— Panie Juliuszu, strzeż się rozkapryszonych.

— Boję się nawet i dlatego jestem cichy i pokorny.

— To ma znaczyć, mamo, że jest zjadliwy i szyderski.

— Wzywam do zgody.

— Zmieniasz pan obraz, traci on surowość, monotonność, rozjaśniasz go, dajesz mu harmonię, urok, całość.

— To nie ja, pani, to tylko ton, który się z po za chmur przedarł w promyk bladego światła, zaświecił na krzyżu kościołka, rozjaśnił jego kopułkę, oświecił czoło starca, zamigotał na uszkach i łebku jego psa, przyczołgał się po

zielonej łące i odbił w stawie, świeci urokiem radości promienia, osuszającego łzy.

— To pan nazywasz tonem?

— To nazywam dobrym tonem w malarstwie.

— A w życiu?

— Tonem różnorodnych myśli i pragnień powinni być jeden cel zadania życia.

— Ciekawam.

— Jakże Angielka dobrego tonu może być ciekawą?

— Przyznam się panu, że ja się go czasem zaczynam bać.

— Z powodu?

— Nigdy nie jestem pewna, kiedy pan mówisz seryo, a kiedy żartujesz. Najpiękniejszą nić swych myśli pan targasz dla szyderstwa.

— Najdogodniej pani dla świata mieć uśmiech i szyderstwo; kto zechce, znajdzie pod niem treść i myśl. Zresztą lubię się zastosowywać do otoczenia.

— Co innego na moich ustach, uśmiech boleści.

— A na moich przebaczenia.

— A przecież gdym pana pierwszy raz zobaczyła, byłeś smutny i zamyślony.

— Byłem sam, a więc byłem sobą.

— Bądźmy więc poważni, tem więcej, gdy...
— Moje dziecię—głos z salonu.
— Czego sobie mama życzy?
— Zawieszam pracę, słońce zachodzi.
— Wracamy, nie tęsknij.
— A zkądże wiesz, że ja tęsknię.
— Bo cię znam.
— No to chodź, daj czoło do pocałowania. Pan Juliusz, mówisz, jest zjadliwy?
— Okropny, dokucza mi.
— A ty, moje dziecię, przebaczasz mu?
— Zawsze.

*

* *

Jechali kłusem wśród zbóż i zieloności łąki.
— Mama sobie życzy.
— Jechać stępo?
— Przyrzeczenie powagi.
— Słucham.
— Mama sobie życzy, tak, mama sobie życzy—długie milczenie—abym poszła zamąż.
Silny rumieniec zakwitł na marmurowej buzi.
Młody człowiek lekko zbladł.
— Mama sobie życzy—powtórzył.
— Skończyłam już lat dwadzieścia, nikogo nie mam na bożem świecie, prócz matki, i ma-

ma moja nikogo oprócz mnie. Cóż więc dziwnego, że drży, boi się o siebie, o swoje zdrowie, bo się boi zostawić mię sierotą. Mama widzi we mnie jedyny skarb i umiera z obawy o niego— długie milczenie. Mama sobie życzy, nawet pragnie; nic mi nie mówi, lecz często widzę łzy w jej oczach. Milczy, cierpi i czeka—a ja...

— A pani?

— Ja ją kocham; łzy w jej oczach są dla mnie wyrzutem niewdzięczności, męczarnią, upokorzeniem. Nie zrobić mojej matki szczęśliwą, gdy to jest w mej mocy, dręczyć ją za jej miłość i poświęcenie, to jest niegodne, a jednak nie mogę spełnić jej gorących pragnień.

Milczenie. Słychać było głuchy odgłos podków, bijących o zieloną murawę. Hektor smutnie głową wstrząsał, młody człowiek blady, uroczysty, milczący, patrzał przed siebie daleko.

— Panie Juliuszu!

Młody człowiek spojrzał w oczy towarzyszki. Były wilgotne.

— Pomimo pańskiego uśmiechu, który czasem przeraża, ironii, która drażni, jest coś dziwnego w jego słowach, nawet w pańskiem uśmiechu pewna boleść, w ironii żal. Pan masz coś na sercu, jakąś tajemnicę, która cię opanowała i pochłania całego. Powiedz mi pan wszystko, miej do mnie zaufanie, potrafię być za nie

wdzięczną.— Przebacz mi moją ciekawość i wierzaj, że to nie kaprys.

— Pani tak dziwnym zwrotem przerwałaś swoje opowiadanie.

— To tylko dlatego, aby mieć prawo wywzajemnić się.

— Historya moja prosta: należy ona do wielu, dlatego nie jest tajemnicą. Mów, droga pani, dalej, jeżeli czujesz potrzebę, a w każdym razie bądź pewna mojej sympatyi.

— Swoją szczerością ośmieliłbyś mię pan, wzajemna spowiedź pozwoliłaby nam zawrzeć przymierze, obmyślić środki ratunku.

— Przyrzekam pani szczerość i wzajemność; mów pani, jeśli taka twoja wola, słucha cię przyjaciel, i jeżeli potrzebujesz, obrońca.

Młody człowiek wyciągnął rękę, amazonka podała mu swoją, zbliżył się, pochylił i przycisnął ją do ust.

— Musiał pan Juliusz bardzo ci dokuczać, moje dziecię, gdy teraz prosi o przebaczenie— mówiła głośno pani Crossley, dopędzając jadących nizkim faetonem, ciągnionym przez szkockiego pony *).

---

*) Pony, mały konik, jakich na całą Anglię dostarcza Szkocya.

— Tak, mamo—odpowiedziała zakłopotana Ada, zwracając się wraz z Juliuszem na przywitanie jadącej.

— A może wam przeszkodziłam, może mieliście sobie dużo do powiedzenia. Jestem niezręczna i gniewam się na siebie.

— Właśnie, droga mamo, skończyliśmy, pan Juliusz przestał mi dokuczać...

— I prosi o przebaczenie—oddycham swobodnie i jestem w wybornym humorze; zaproszę wikarego na obiad, będziemy mieć klasyczną muzykę. Skromny ten człowiek nie znudzi was. Jadę wprost do szkółki. Jutro na podwieczorku mam najlepsze uczennice. Nie opuszczajcie mię, moje dzieci, podzielajcie moją radość.

Pani Crossley spojrzała na córkę wzrokiem rozrzewnionym, a potem na Juliusza pełnym życzliwości i zachęty. Mały pony zniecierpliwiony ruszył z miejsca galopem, spoglądając dumnie z ukosa na swych dużych towarzyszy, którzy ze swej strony pozwolili się wyprzedzać, szanując ambicyę wysilenia.

Ze szkółki wybiegło kilku chłopców trzymać konie, a głaskać i pieścić pony, który zdawał się podzielać dobry humor swej pani.

W szkółce pani Crossley z Adą oglądały wystawę ręcznych robótek dziewczynek. Na uczczenie odwiedzin dzieci połączonemi siłami śpie-

wały psalmy. Ada sopranem prowadziła chór dziewczynek, młody wikary wspierał chłopców czystym poważnym tenorem.

Podczas śpiewu holy, holy, holy, psalmu uniesienia radości, pani Crossley miała łzy w oczach, zbliżyła się do Ady, przycisnęła ją do siebie i pocałowała w czoło, odwróciła się do Juliusza, podając mu swą rękę. Juliusz wzruszony pocałował dłoń, podaną mu serdecznie a tak znacząco.

Wikary siadł do faetonu. Pani Crossley nie oddała mu lejc, utrzymując, że pony jest bardzo obrażony, gdy ktoś obcy ośmieli się nim kierować; wtedy pony grymasi, staje w miejscu lub się cofa. Nie zawsze nawet słucha Ady, co u pani Crossley oznacza wielką odwagę, a nawet zuchwalstwo, na które nigdy się sama nie odważyła.

Wikary został przekonany, pony poszedł jak strzała, a jeźdzcy zaambarasowani wobec siebie, milczący, zdążali zwolna za ponym.

— Mama jest pewna — rzekła Ada i zarumieniła się.

Hektor zrozumiał, że najlepiej w takim razie uciekać, skoczył jak błyskawica. Dumny pony chciał go gonić, ambicya jego atoli została ukróconą. Za Adą w przyzwoitem oddaleniu

pomknął Juliusz, szanując tak drogą w takich razach samotność.

* * *

Na tarasie zasłoniętym portyerą, zastawiony stół, oświecony lampą, za portyerą szafirowe, gwiaździste niebo, na dole zielone gazy, szerokie chodniki, fantastyczne drzewa, otulone mgłą, za drzewami tajemnicze duchy i cicha woda w stawie z białą parą, dzierganą blademi nićmi księżyca.

— I odjeżdżasz pan stanowczo jutro?

— Jak najraniej, czyż mogę zostać? czyż mam prawo? czy powinienem?

— A wrócisz pan?

— Kiedy pani zechcesz, kiedy każesz.

— Dobrze, napiszę, lecz czy się pan z nami nie nudzisz?

— Pani wiesz dobrze, że sierota, który stracił wszystko, obcy między obcymi, gdy znajdzie rodzinę...

— Pan jesteś sierotą?

— Podwójnie, pani. Jeżeli zatem sierota znajdzie rodzinę, która wyciągnie do niego rękę przyjaźni, jest mu z nią dobrze, ogrzewa się u jej ogniska, czuje się jak wśród swoich, zapomina o wszystkiem, żyje teraźniejszością, bojąc się tylko, aby się nie skończyła tak nagle.

— Jak się skończyła, cóż ja temu winna, to mama...

— Tak, mama—powtórzyła ostatnie słowa pani Crossley—która myśli za ciebie, strzeże cię i pilnuje. Tak, to mama, która ci przynosi okrycie i otula cię niem przed zimnem. To mówiąc, pani Crossley zarzuca czerwony szal na ramiona Ady. A teraz opowiadajcie sobie, co się wam podoba, tylko pamiętajcie, że matka czeka na was w swoim pokoju, i ona też radaby podzielić waszą radość, usłyszeć projekta — i ona też ma serce i kocha was i może nie zasługuje, aby była opuszczoną.

Łzy zaświeciły w oczach kobiety, łzami odpowiedziała jej Ada, łzy zaszkliły się w oczach młodego człowieka.

— Tak być nie może — szepnęła Ada po odejściu matki.

— Tak być nie powinno—mówił Juliusz.

— Powiem więc — blada twarz smutnej dziewczyny, osrebrzona promieniami księżyca, oblana purpurowem światłem refleksu szala, dziwnie uroczo wyglądała. Znikł uśmiech na jej twarzy, ogień oczu przytłumiły powieki—powiem więc — powtórzyła — dwa lata temu poznałam u wód barona Leatherdal. Młody człowiek, przystojny, żywy, dowcipny, gładki w obejściu, nadskakujący, zajął mię, potrafił się podobać, starał

się o to, przysięgał miłość, pokochałam go—mówiła cicho przerywanym ze wzruszenia głosem. Pan pewno wiesz, że pochodzimy z zamożnej rodziny mieszczańskiej. Baron Leatherdal sądził, że jestem nierównie bogatszą niż jest w istocie, chciał dobry *biznes* zrobić, zniżając się do mieszczańskiej córki. Szczęściem dla mnie, dowiedział się w porę o stanie mego majątku. Baron nagle ostygł, zobojętniał, mroził grzecznością i zimnem. Nie domyślając się niczego, nie przeczuwałam powodów tak nagłej zmiany, przeciwnie, czekałam stosownej chwili, aby się go spytać o przyczynę, przeprosić, błagać przebaczenia. W parę dni wyszłam ciemnym wieczorem z guwernantką do parku; przechodząc boczną aleą, z po za jednej ławek usłyszałam rozmowę. Baron zwierzał się przed kolegami. Wyobraźcie sobie, mówił, byłem pewny, że moja mała posiada 15 tysięcy funtów rocznego dochodu, gdy tymczasem ma ona zaledwie trzecią część tego. Na taką wędkę baronowie Leatherdal nie łapią się, przytem sentymentalna, nudna, zakochana, a matka jej śmieszna. Rozszalała z boleści, gniewu, oburzenia, wróciłam do siebie. Nazajutrz rano po bezsennej nocy, wyszłam ocucona, zimna, poważna. Baron spostrzegł mię w kursalonie, biegnie naprzeciwko ze słodkiem uśmiechem... Stanęłam wyprostowana, mierząc go ocza-

mi z najwyższą pogardą, odwróciłam się, podałam poczciwej Izabeli rękę, zaledwo zdołając odejść, i czując ból w głowie, szum w uszach, zimno i ciemno.

— Biedne dziecko—szepnął Juliusz.

— Mama domyśliła się wszystkiego, wyjechałyśmy tego samego dnia. W Londynie położyłam się do łóżka, gorączka trzymała mię przez dwa miesiące w pokoju, a później moja poczciwa matka ze znużenia, obawy, niepokoju, również zasłabła, męczennica swej miłości, i przywiązania. Już skończyłam—dodała gorączkowo—a teraz kolej na pana.

— Skończyłaś pani tylko opowiadanie faktu.

— Tak, tak, masz pan prawo wiedzieć wszystko. Rozmarzona idealistka, kochająca świat i ludzi, wróciłam do niego z obojętnością, a nawet pogardą.

— Wróciłaś pani, aby go znów pokochać. Ada spojrzała się dziwnie.

— Została mi tylko matka—mówiła dalej—jej tylko wierzę i kocham ją, lubię i dzieci tulić do siebie... Jeszcze nie koniec, pan jesteś cudzoziemiec, może to się panu dziwnem zdawać, Angielki nie przebaczają, postanowiłam ukarać nikczemność, przysięgłam sobie otrzymać zadośćuczynienie za wyrządzoną mi krzywdę, i to jest dziś zawiedzionej i złamanej cel życia. Pan poj-

mujesz teraz moją obojętność, rozdrażnienie, uśmiech mój i niewiarę.

— Pojmuję pani boleść, cierpisz, że kochać nie możesz.

— Cierpię, że nie mogę się mścić, cierpię, że mi wydarto serce, cierpię, za moje upokorzenie, za łzy mej matki, za me cierpienia pragnę nagrody i postanowiłam starać się o nią. Jestem zmęczona, podaj mi pan ramię, wróćmy do pokoju.

Dziewczyna ze wzruszenia i ciężkich wspomnień, drżała na całem ciele, idąc chwiała się.

Zaledwie młoda para przeszła podwoje, dzieweczka siadła na kozetce, oparła główkę na ręce, oczy wlepiła w młodego człowieka.

— Masz mię pan całą, taką jestem, znasz mię, a teraz mów.

— Pani, drogi nasze różne, walka ta sama i cel podobny.

— Kochałeś pan, zdradzono cię i nie przebaczasz.

— Kochałem i kocham.

— Kochasz—szepnęła rumieniąc się, gdy tymczasem jej rączki zaczęły splatać frendzle szala.

— W pierwszych chwilach męzkiej młodości mojej, pokochałem wypadkiem, szczęściem, przeczuciem, sympatyą; nazwij pani jak ci się

podoba, kobietę, która umiała połączyć w sobie serce z szerokimi poglądami, jeżeli nie na ludzkość, to na losy własnego kraju. Obok niej, przy jej boku, uczyłem się przebaczać ludziom i myśleć o sprawach narodu. Kochałem ją, stosunki nasze były ciężkie; zawiść, złość i ograniczenie podają sobie zwykle ręce dla wypowiedzenia walki czystemu uczuciu i szlachetnym zamiarom. Cierpieliśmy oboje i tem silniej węzeł sympatyi naszej zaciskał się; rozłączono nas, i jako sen zniknęła.

— Może powróci — szepnęła dziewczyna, ciągle splatając frendzle szala.

— Już nie powróci, pani, w spuściźnie zostawiła mi drugą kochankę.

— Drugą? czy nie siostrę?

Tak, drugą. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . I dziś pani nie pojmuję, jak można rozdzielać miłość w swem sercu, nie pojmuję jak można kochać kobietę bez możności podzielania z nią wspólnej pracy. Kochać i pracować, dziś słowa te dla mnie łączą się w nierozdzielną całość.

— Pracować, ale jak? — szepnęła młoda dziewczyna, przed którą rozwijał się nowy nieznany jej świat myśli, otwierały się nowe drogi idei, przygniatające ogromem, upajające wielkością.

— Ale jak?—pytasz się pani. Należy dźwigać z upokorzenia i nędzy społeczeństwo, walka ta jest zarazem nawróceniem winnych do obowiązków, jest zmuszeniem ich do pracy cichej i mozolnej. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Cisza. Na twarzy młodego człowieka wszystkie muskuły grały, oczy świeciły blaskiem. Młoda dzieweczka uspokoiła się, patrzała zdziwionemi oczami, słuchała na pół odemknąwszy usta. Boleść jej zmalała, cierpienia się rozwiały wobec olbrzymich obrazów.

— Kogo więc pan szuka?

Zapytanie o ile naiwne, o tyle prawdziwie kobiece.

— Kogo ja szukam?—pytasz się pani. Kogoż się szuka, gdy się jest jeszcze młodym, gdy się jest sam, gdy się pragnie przytulić cały świat do gorących piersi? Pani ja nie szukam—dodał cicho—ja słucham i patrzę.

— Mama czeka na nas — szepnęła Ada,

i w tej chwili twarz jej okryła się pąsem, rywalizującym z kolorem szala. Droga moja matka zna moje przejścia i dlatego tak się lęka o moją przyszłość; lubi pana, sympatyzuje z nim— miała nadzieję—dzisiaj jest pewna. Panie Juliuszu—mówiła wstając ze spuszczonemi oczami—jeżeli szukasz tylko przyjaciela—podaję mu obie ręce—pomocnika na swej drodze i nic więcej—dodała cicho—jeżeli mi przyrzekasz pomoc i tylko opiekę brata, nie mówmy o miłości, nie ma jej dla mnie: wierzę w twoją przyjaźń, więcej nie pragnę, nie mam prawa... Jeżeli mi to wszystko przysięgasz—to—to chodźmy do mamy. Ja jestem tylko biedna, ale nie jestem zła i niewdzięczna.

Łzy, ciche łzy wezbrane, stoczyły się potokiem.

Juliusz przycisnął podane ręce do ust, patrząc na piękną twarz i łagodne rysy, wypięknione boleścią.

— Pani — rzekł z powagą przyjmuję warunki, póki ich sama nie zmienisz. Czyż jednak życie wśród walki, praca dla obcego narodu, czyż szamotanie się wśród ludzi, którym się oddaje wszystko, co mamy najdroższego, a w zamian odbiera się niechęć lub szyderstwo, czyż życie wśród odmiennych stosunków, opinii—nie przeraża pani? nie odstręcza?

— Przecież będziemy razem — odpowiedziała z uśmiechem — może pan jakąś cząstkę pracy i mnie powierzysz — gdy będę spokojną, mam nadzieję mieć wytrwałość.

— Masz więc pani odwagę?

— Czyż nie jestem Angielką?... czyż będę sama?...

Młody człowiek miał szaloną ochotę pocałować te usta, które z taką prostotą malowały mu przyszłość własnemi jego farbami. Sama myśl atoli przeraziła go, aby przedwcześnie nie zerwać uroku marzeń tego dziecka, złożonych z niezapomnianej przeszłości — odwetu, wśród przyjaźni i dziewiczej przyszłości.

— Najprzód zadosyć uczynienie dla ciebie pani, rzekł Juliusz.

— A potem do kraju—dodała Ada.

— Chodźmy.

Po miękkim dywanie przeszli schody w milczeniu. Oparta na jego ramieniu, cicha, spokojna jak rezygnacya, dobra i łagodna jak przyjaźń, szła obok tryumfatora, który wierzył w swoją przyszłość, kochał, nie tracił nadziei.

Zastali drzwi otwarte, w głębi przy płonącej lampie siedziała dobra matka. Na kolanach otwarta biblia — wzrok utkwiony w przestrzeni, usta ożywione uśmiechem.

— Patrz pan—szepnęła Ada—jak ona jest

szczęśliwa, jak spokojnie czeka rozmarzona. Zabilibyśmy ją, gdybyśmy nie przyszli.

Szept Ady obudził zamyśloną, odwróciła głowę.

— Dzieci!—zawołała, zrywając się.

Dwie kobiety padły sobie w objęcia. Śmiech, łzy i łkanie towarzyszyły uściskom.

— Kochasz ją, bardzo ją kochasz, prawda?... alboż można nie kochać jej?—mówiła uszczęśliwiona matka. Ty jej tak nie znasz, jak ja ją znam, poznasz później i jeszcze więcej pokochasz.

— Mamo, to ja się panu Juliuszowi oświadczyłam—szepnęła Ada.

— Tem lepiej, tem lepiej, moje dziecko, będzie ci wdzięczny za to, będzie cię więcej kochał i cenił... nieszczęśliwi mają serce. Chodźcie tu do mnie bliżej—powiedziała, prowadząc ich do swego fotelu.

Ada uklękła obok matki, kładąc głowę na jej kolanach, Juliusz oparł się o poręcz krzesła.

— Mamo, on mię będzie szanował...

— Uwielbiał — przerwała matka— prawda będziesz ją uwielbiał?

— Ja ją już dziś uwielbiam.

Ada podniosła oczy, wzrok jej spotkał się ze spojrzeniem Juliusza, zarumieniła się i przymknęła powieki.

Matka objęła rękami głowę przyszłego zię-

cia, przysunęła go do siebie i pocałowała w czoło, następnie pokazała w milczeniu, aby temże samem wywzajemnił się Adzie. Juliusz pochylił się do twarzy dziewczęcia, składając pocałunek na jego czole.

Dziewczę nie otworzyło oczu. Matka zsunęła pierścionek z ręki młodego człowieka, pierścionek dany mu przez babkę, gdy dom rodzinny opuszczał, zdjęła po cichu drugi z palca córki, a oddając go Juliuszowi, szepnęła: noś go całe życie. Pierścionek zaś Juliusza włożyła na serdeczny paluszek swego dziecka. Dziewczę nie otworzyło oczu. Juliusz uklęknął, całując w kolana matkę, całując rękę narzeczonej... dziewczę nie otworzyło oczu—i wyszedł na palcach.

* *
*

Co mówiły matka z córką? o czem marzyło młode dziewczę?... Może się domyślam, lecz się nie ośmielę opisywać tego, co nad moje siły.

* *
*

Villa Hatton.

Moja najdroższa starsza pani!

Dziś wieczór zbliżyło się do mnie dwudziestoletnie dziecko, nieśmiało podało mi swoje białe ręce i - mówiło:

Nie jestem piękna, lecz mam popielate włosy, ciemne oczy i długie czarne rzęsy, grecki nosek i białą marmurową płeć. Nie jestem uczona, jednak rozumiem każdą myśl Szekspira, uwielbiam Dickensa i wsłuchuję się w Stuarta Milla. Nie posiadam talentów, gram tylko Sonaty Beethowena i Chopena walce, maluję pejzaże, które poprawiasz, i śpiewam szkockie ballady. Nie jestem bardzo bogata, lecz za to jestem rozpieszczona, może zbyt tkliwa, zbyt dumna, zbyt drażliwa. Nie kocham cię i lubię ci troszkę dokuczać, gdy jednak cierpisz, mam ochotę przeprosić cię, tylko nie śmiem; gdy się uśmiechasz złośliwie, boli mię, gdy jesteś smutny, żal mi cię. Nie kocham, lecz lubię twoją rozmowę, i gdy długo nie przychodzisz—smutno mi... I nareszcie, ponieważ sobie mama życzy, jeżeli ci się podoba, zostanę twoją żoną. Do tego dołączono przerażające warunki i głębokie projekta... Tak mi opowiadała dwudziestoletnia dzieweczka, potem łzy i uściski matki, pocałunek w białe jej czoło, i jestem w swoim pokoju, rozmarzony, upojony, jak w chwili, gdy szczęście, na które spoglądaliśmy z daleka, zbyt wcześnie, a niespodzianie do nas przybiegło. Nie wiemy jak przyjąć tak rzadkiego gościa, czujemy się wobec niego zakłopotani, nieśmiali, smutni, szukamy samotności, i gdy znów sami jesteśmy.

radzibyśmy spotkać przyjaciela, przed którym zwierzać się pragniemy, i wtedy piszemy zwykle do...

— Ach prawda, przecież ja już nie mam nikogo — szepnął Juliusz, rzucił pióro i pogrążył się w myślach i wspomnieniach... Widzi białą zbliżającą się postać. Podeszła blizko i długo patrzała w jego oczy... Cierpiałeś, mówiła spokojnie—szamotałeś się z życiem, bez wytchnienia, i kochałeś tylko mię jedną, nie opuszczałam cię... Odpocznij, pokochaj ją i idź dalej w pracy drogą, którą rozpoczęliśmy w projektach i w niezapomnianych wieczornych opowiadaniach. Bądź szczęśliwy... Pochyliła się i usta jej dotknęły ust jego... Juliusz się zerwał, obejrzał w około... w pokoju cisza, lampa zagasła, a przez okno przebija się tajemnicze światło księżyca.

II.

Joe, zdołamy uciec?

— Mój Willu, cóż stary Joe może powiedzieć? czyż to jesteśmy na Oceanie? Ten przeklęty frenczmeński kanał, to tak jak sam Frenczmen; zdaje się grzeczny, gdy w tem wypije kieliszek koniaku i wali cię w łeb.

— Zdaje się, że teraz wypił kwartę — patrz.

Rozkołysane fale morza posuwały się ku wschodowi, południowy wiatr lekko o nie trącając, zawijał w papiloty ich czubki.

Fryzowanie czubków znaczyło u marynarzy wypicie od razu kwarty koniaku przez burzliwego Frenczmena.

Słońce czerwoną łuną żegnało ziemię, zwolna chowając się w morzu, ptaki pośpiesznie uciekały ku brzegom.

Czemuż nie jestem Heglistą, a powiedziałbym spokojnie, że zrobiło się nam na duszy

i sercu ciężko i smutno, i dlatego obrazy przyrody wyglądały tak ponuro. — Nie wiem, czy również kapitan okrętu był zwolennikiem Hegla, lecz i jemu coś na umyśle czy sercu zaciążyło; przechodząc, zaklął siarczyście, pobiegł na górny pokład, dając polecenie Mussowi *), stojącemu przy sygnałowej tubie.

Mussa stanowczo posądzam o Heglizm; zadumany stał, zbierając z morza obrazy myśli własnych — stał, patrzał i nie słyszał rozkazu. Kapitan, teraz nie ulega wątpliwości, szorstki materyalista, poczęstował mussa materyą swego obuwia, przyprowadzając jego myśli z wrażeniami do równowagi. Chłopiec powtórzył rozkaz, pochylony do otworu tuby, a potem coś mruczał pod nosem. Może słowami Heinego przeklinał Heglistów.

Wiatr zerwał się gwałtownie, okręt kołysany falą z jednego na drugi koniec, dostał uderzenie w bok, pochylił się na jedną stronę i w tej chwili jakby się otrząsł z niespodzianej kąpieli, zaczął z podwojoną szybkością płynąć w kierunku południowo-wschodnim.

„Zdarto żagle, ster prysnął...“ Nie zdzierano żagli, bo ich nie było, a żelazny ster nie

---

*) Chłopiec okrętowy.

prędko pryska. Kapitan stoi na pokładzie okrętu tuż pod bussolą, daje rozkazy znakami, ręką lub głosem do chłopca, który je powtarza maszyniście.

Wypuszczony całą siłą pary, statek jęczy i drży z wysilenia, prując skrzydłami i śrubą morze. Wiatr wyje z gniewu, co raz silniej bijąc o boki okrętu, uderzany pochyla się cierpliwie i znów powraca na miejsce. Majtkowie w milczeniu przygotowują się do przyjęcia burzy, a fale morskie już nie fryzują swych czubków, zawijają się w kłęby i piętrzą we wzgórza.

Z dolnego salonu blada, zmęczona, trzymając się rękami o poręcz schodów, wychodziła na pokład młoda osoba. Spostrzegł ją mężczyzna, oparty o zwiniętą w kręg linę, zerwał się, pobiegł do wychodzącej. Wiatr i kołysanie okrętu zwaliło go z nóg tak nieszczęśliwie czy szczęśliwie, że prawie zatoczył się pod stopy bladej i przestraszonej,

— Nawet rozgniewany wiatr, ścieląc mię do jej nóg, każe panią prośbą zatrzymać. Jakże można na taką burzę...

— Głowa mi pęka, niedobrze mi, duszno, pozwól pan choć chwilkę odpocząć, trzymaj mię.

Przeraźliwy świst wiatru zagłuszył słowa, zachwiał wychodzącą, zerwał z jej głowy kapelusz, niosąc go na morze.

Młody człowiek pośpiesznie objął wiotką kibić, a wtedy główka pochyliła się na jego piersi i oczy zamknęły. Majtek podał mu okrętowe krzesło, usiadł, składając na kolana drogi ciężar.

Na zachodzie ostatnie blaski oświecają Rembrandtowski koloryt pejzażu, czarne chmury poprzedzane błyskawicami, pędzą jak kolumny ciężkiej kawaleryi na pobojowisko.

— O Boże, umieram... Juliuszu, kochaj mię, kochaj... pocałuj—szeptała na pół nieprzytomna dzieweczka.

Możeby Juliusz usłuchał i spełnił rozkaz, na morzu mimo zapraszań niepodobna.

— Hej, jeżeli dżentelmen z młodą damą nie chce zejść do kajuty, przywiązać go liną,— krzyknął kapitan.

Dwóch majtków przybiegło z gotowością spełnienia poleceń kapitana.

Bałwan wody skoczył na niższy pokład okrętu, rozlał się strumieniem i zniknął. Juliusz chwycił na ręce osłabioną cierpieniem kobietę, stanął, zachwiał się i ukląkł.

— Toniemy! ratuj mię! kochaj! — wołała, obejmując go za szyję.

Z pomocą majtków udało się niosącemu chorą zejść po schodach do salonu.

A w salonie co za przerażający widok. Ko-

biety straciły wstyd i z otwartemi oczami przytomność, mężczyźni godność i delikatność. Jedynie tylko przerażone twarze zdrowych tchórzów, czekających na śmierć, rozweselały obraz Hogartowskim sarkazem.

— Toniemy!—zawołano, widząc zmoczonego mężczyznę.

— Już jesteśmy na dnie — odpowiada zapytany spokojnie.

Przeraźliwy pisk i lament przytomnych. Młoda kobieta tuli się do Juliusza, chore podnoszą się, patrzą oczami, które nic nie widzą, i znowu bezwładnie rzucają się na kanapę.

Nasi młodzi są w kajucie. Położył ją, rozpiął, siadł obok i trzymał za ręce.

Ciemna noc, deszcz ulewny, przeraźliwe wycie wiatru i łoskot wpadających na pokład bałwanów.

Trzy godziny minęło; lądu nie widać, burza nieustannie spycha z drogi płynący statek; męczarnie chorych i westchnienia zdrowych.

— Latarnia! — zawołano na górze — latarnia!—powtórzono na dole.

— Wykrzyknik ten, to tyle co nadzieja, a nadzieja—życie.

Zerwali się wszyscy, otworzyła oczy Ada, lecz nie miała sił podnieść się.

Juliusz wybiegł. Na ciemnem tle nocy z da-

leka blade niebieskie światło gwiazdy zdawało się kołysać, zbliżać i uciekać przed patrzącymi z okrętu.

— Daleko jeszcze?—zapytał młody człowiek przechodzącego majtka.

— Pół godziny, jeżeli...

— Jeżeli się statek nie rozbije.

— O to nie ma obawy; chciałem powiedzieć, jeżeli będziemy mogli dobić do portu.

— A jeżeli nie?

— Powrócimy na pełne morze czekać, lub zwrócimy się do Antwerpii.

— Ośm godzin drogi!

— Ośm, lecz prędzej dwanaście.

— Przeklęta burza!—szepnął Juliusz—dziecko się męczy straszliwie, a nie ma żadnego ratunku.

Powrócił.

— Juliuszu, uciekasz, masz wstręt, nie kochasz mię, wiem o tem, i dobrze że umieram. Zmusiłam cię, narzucałam się... ratuj mię!—skarżyła się zmęczona chora.

Jeszcze tylko kwadrans... jeszcze dziesięć minut, a jakie one długie; to piekło w wieczności, a jeżeli nie dobijemy... niepewność rozdrażnia.

Słychać pomięszane głosy, huk petardy,

ruch w salonie, wrzawę na górzę. Juliusz na pokładzie.

Spuszczają kotwice, rzucają liny, ciągną rzucone na statek.

Kapitan ciska jak pioruny rozkazy, majtkowie maszyny o zmysłach i muskułach, a mussy podobni do kotów, przyczajeni, patrzą w twarz wodza i pana.

Okręt dostał wędzidła, kióre woda pragnie porwać, podróżni drżą z niecierpliwości.

Ada nie umiera, nie prosi o miłość, nie każe się całować, milczy i słucha. Otulił ją, wziął na ręce, wstąpili na ląd, przytomność wraca.

— Hotel francuzki! — krzyknął Juliusz na woźnicę.

Koła powozu zaturkotały, a w powozie cisza i zamyślenie...

Chora leżała w łóżku; zastawa do herbaty na stole, ogień na kominku, Juliusz siedział obok zapatrzony.

Usnęła, jak usypia zmęczona młodość, z nadzieją jutrzejszego zdrowia. Mąż patrzał na spokojną twarz, odemknięte usta i białą rękę na piersiach—patrzał, pochylił się i pocałował gładkie czoło.

* *
*

Nazajutrz... o straszne nazajutrz, gdy sobie przypomnimy okropne wczoraj. Po wypoczynku wraca pamięć, a wstyd i przerażenie jaskrawo koloryzują przeszłości obrazy.

Ada obudziła się wcześnie; ręką podparła główkę i rozważała wczorajsze wypadki. Ślub, weselne śniadanie, żarty starego kuzyna, pożegnanie z matką, odjazd do Dowru i podróż na statku. Ach, ta podróż! Wiele razy przypomnienie odtwarzało ciężkie chwile podczas burzy, dzieweczka rumieniła się, chowając główkę w poduszkę.

— I on to wszystko słyszał i widział...

Okrywa się, ach, czemuż nie umarła wtedy?...

Lekko zastukano do drzwi.

Milczenie i cisza w pokoju, słychać tylko gwałtowne serca bicie.

Pukanie powtarza się— cisza i przerażenie.

— Może to on?... ach, za nic w świecie, lepiej umrzeć!...

Pukanie ustało i znowu długa samotność, majaczenie myśli, gwar na ulicy, czas płynie....

Znowu zastukano, silniej i energiczniej, i znowu milczenie i przestrach...

Powoli otwierają się drzwi, pokazuje się głowa, za głową zgrabna postać pokojówki hotelowej.

— Ada odetchnęła.

— Pan hrabia—konieczny dodatek w hotelu u wód—już drugi raz przesyła dzieńdobry, zapytując się o zdrowie pani hrabiny—trzepała rezolutna belgijka.

— Podziękuj, czuję się bardzo dobrze.

Pokojówka wybiega i wraca.

— Pan hrabia jest zachwycony tą wiadomością, czeka z herbatą w salonie. Pani hrabina każe się ubierać? Pan hrabia był już na przechadzce, układa bukiet dla pani hrabiny, dał mi jeden kwiatek za dobrą nowinę o jej zdrowiu.

Pokazuje na przypięty gwoździk.

Ada się rumieni, złośliwy mógłby pomyśleć... Nie wiem co złośliwi myślą.

— Panu hrabiemu nigdy nie wolno wejść rano do pani hrabiny? Co za szkoda, taki ładny, grzeczny...

Ada się odwraca, pokojówka rozumie i milczy.

— Jaki ubiór pani hrabina każe grzygotować? negliżowy ranny, czy ranny spacerowy?

— W którym salonie podadzą herbatę?

— W salonie pana hrabiego. Panu hrabiemu dostał się salon i mały pokoik sypialny.

Jeszcze raz zastukano do drzwi, służąca wybiega i wbiega z prześlicznym bukietem bia-

łych zarumienionych róż, w około ubranych girlandą pąsowych gwoździków.

— Pan hrabia przysyła. Jak pan hrabia ładnie układa, jaki ma gust. Już to pan hrabia ma gust; dosyć spojrzeć na panią hrabinę. Ada uśmiecha się. Dlatego też oczarujemy go rannym strojem.

Pokojówka okrywa nóżki Ady w pończochy.

— Pan hrabia jeszcze nie widział tej ślicznej nóżki, lecz gdy ją zobaczy... biedny pan hrabia, mnie go troszkę żal.

Ada robi surową minkę, pokojówka przestaje na chwilkę, aby powtórnie rozpocząć obronę swego protegowanego. Rano dostała luidora z poleceniem, aby młodą panię starała się rozerwać, czuła się więc w swem prawie; nadto Juliusz miał ładne wąsiki, a flamandzkie języczki muszą pracować, pracował więc i języczek pokojówki.

— Pan hrabia jest bardzo sympatyczny— mówiła ciągle, ubierając głowę swej pani. Już mię dziś trzy damy pytały, kto jest pan hrabia? Odpowiadam, że żonaty. Dwie były smutne, a jedna do swej towarzyszki powiedziała po angielsku: tem lepiej. Ja rozumiem po angielsku.

Ada zadrzała, lecz zdawało się, że tylko guziczek poprawia.

— Myślę sobie, powiem panu hrabiemu —

Ada się rumieni — ale znów myślę sobie, pan hrabia jest mężczyzna, a oni wszyscy tacy. Ta co powiedziała „tem lepiej“, mówią, że piękna, a oczy ma jak rozżarzone węgle.

Toaleta skończona. Ada jeszcze raz rzuca wzrokiem w lustro.

— Pani hrabina piękniejsza od nich wszystkich.

Pokojówka otworzyła drzwi, chwila stanowcza nadeszła, trzeba przestąpić próg, jak kiedyś przestąpiono Rubikon.

Chwiejny, niepewny chód i spuszczone oczy, tak szła pokutnica morskiej burzy.

Juliusz rzucił gazetę, którą czytał, uśmiechnięty podbiegł naprzód do młodziutkiej żony. Podaną rękę chciał pocałować, zatrzymano ją bezwiednie w połowie drogi.—W tej chwili małżonek ostygł, spoważniał, Ada posmutniała, stając się więcej nieśmiałą.

— Szczęśliwy wypadek pozwola mi widzieć panią dziś u siebie, wiem jednak, jak to jest ciężko rano opuszczać swój pokój. Przyrzeczono zmianę na korzyść pani, a tymczasem pozwól mi, jako gospodarzowi, po wczorajszem zmęczeniu służyć sobie.

— Dziękuję panu za śliczny bukiet.

— A ja pani za różę we włosach.

— Nie dziękuj pan, zepsułam symetryę w bukiecie.

— Lecz za to sprowadziłaś pani harmonię we wspomnieniach, łącząc dzisiejszy dzień z wieczorem poznania.

— Czyż bukiet ten na pamiątkę owego wieczoru?

— Tak pani, wtenczas wierzyłem w potęgę sympatyi.

— A dziś?

— Zdaje się, że ona nie jest tak wszechwładną.

— Milczenie, długie picie herbaty i obserwowanie dna filiżanki.

Przynoszą listę osób, bawiących w kąpieli. Juliusz przegląda ją... „Baron Leatherdale“,— Ada mocno zmięszana, Juliusz dzwoni.

— Pan dzwonisz...

— Aby się dowiedzieć o adres barona, następnie dotrzymując słowa, być na jej rozkazy.

Wchodzi służący.

— Proszę cię, znajdź mi adres barona Leatherdale—rzekł Juliusz.

— Pan baron stał u nas, parę dni temu wyjechał, lecz wkrótce ma wrócić.

Juliusz po odejściu służącego przeglądając dalej listę:

— Mam i znajome z kraju.

— Dobre znajome?

— Od dawna, z lat dziecinnych.

— I nie widziałeś pan ich?

— Lat już kilka, były wtedy pięknemi dziećmi.

— A dziś są pewno piękne miss.

— O, bez wątpienia—odrzekł Juliusz swobodnie.

— Radabym się przejść.

— Czy mam pani towarzyszyć?

— Jeżeli panu czas pozwoli.

— Dla pani nigdy mi go nie zabraknie.

— Nie chciałabym nadużywać.

— Czyli masz zamiar pani powiedzieć...

— Wypada, abyśmy ile możności byli razem dla...

— Dla?...

— Chociażby dla konwenansów.

— Jeżeli tylko mamy się poświęcać dla konwenansów, szkoda czasu i życia.

— A dla opieki?

— Tej masz pani prawo zawsze wymagać. Co do mnie, będę panią prosił tylko w imię przyjaźni i przyjemności jej towarzystwa.

Ada spuściła oczy, chciała coś powiedzieć, nie śmiała.

Wyszli oboje razem. Ludzie stawali na drodze, odwracali się, długo patrząc. On był dumny,

a ona przestraszona, zaczynała się bać. Oczy czarne jak węgiel, i lazurowe jak niebo południa, i zielone jak Maryi Antoniny, patrzały na niego. Czyż mało powodów do przestrachu?

* * *

Urywki z dziennika.

Dnia... Droga moja matko! Może kiedyś, a może już niedługo będziesz czytać te kartki i smutną historyę krótkich dni dziecka twego.

Ach, jak mi tęskno i żal za tobą, żal mi za naszą willą, zielonym pokojem i sztalugami, malowaliśmy razem, i żal za Hektorem, jeździliśmy razem. Nikogo nie było, ja tylko i on—rozumie się, że i ty, droga mamo.

Nie kochałam i byłam szczęśliwa. Czyż ja nie kochałam? Nie wiem, nie wiem; było mi tak dobrze, bo było cicho. Ja i on, no i ty, droga moja mamo. Tyś mię pieściła, a on patrzał, uśmiechał się i myślał... może ci zazdrościł. Wiesz mamo, on nic nie jest zazdrosny, ale to nic a nic, ani troszeczkę. Przecież mówią, że mężczyzni z zazdrości zabijają kochanki. Jakby to dobrze było, gdyby też on mię zabił. Lecz ja nie jestem jego kochanką, ja jestem jego żoną,

nie jestem nawet żoną. Czemże ja jestem dla niego? Niczem, ciężarem—a on.,.

Dnia... Mamo, nie będziesz czytać tego dziennika, umarłabyś z bólu przy każdej stronnicy... Jak to jest ciężko być żoną cudzoziemca,.. Znowu byli razem, on jej coś mówił długo, długo, ona patrzała w morze, daleko... słuchała. Usiadłam obok, opowiadał dalej. Język jego rodzinny robi na mnie wrażenie mowy włoskiej, ta sama słodycz i to samo przyjemne syczenie. Prosiłam, aby mi przetłómaczył treść swego opowiadania, odrzekł, że mię to nie zajmie, a ona uścisnęła mi rękę, szepcąc: trzeba się uczyć po polsku. Mówiła tak naturalnie i z taką swobodą, z jaką podała Juliuszowi rękę, żegnając go wyrazami: dokończenie jutro.

Jutro zabierze go na pół dnia... A gdyby nie zabrała, czyż ja mu wystarczam? A jednak jest on dla mnie dobry, bardzo dobry, delikatny... moja mamo, zdaje mi się, że zanadto. Dawniej był tak swobodny—dziś.., bo też i ja jestem nieśmiała.

Dnia... O czem oni rozmawiają?... Ona nie jest bardzo ładna, ale przyjemna, jak kotka. Powiedziałam Juliuszowi to porównanie; uśmiechał się i zdawało się, że był rad, mówiąc, że ich poeta użył tego samego porównania; poeta ten nazywa się Pol. Wieczorem deklamował mi

długie ustępy z utworów tego wieszcza, opisujące jego ziemię rodzinną, i tłómaczył. Lubię, gdy opowiada; rozpala się, oczy mu świecą, twarz dostaje rumieńców, a twoja Ada słucha, słucha i patrzy. Poeta tak uroczo odmalował Polki, że mi nawet troszkę żal było, dlaczego i ja Polką nie jestem. Skończył po północy. Wyciągam do niego rękę, ściska ją, ale nie całuje. Zepsułam wszystko pierwszego dnia, wszystko, i już się nie naprawi. Mówi mi dobranoc i wychodzi, a ja nie śmiem spojrzeć. Zostaję sama i wtedy piszę... Mamo, przynajmniej ty mię kochaj!

Dnia... Zwykle rano przychodzi do mego salonu, czyta gazety i czeka z herbatą. Wiele razy wchodzę, tyle razy serce mi bije. Wita mię na pozór serdecznie, ale tak zimno, że aż mróz przechodzi, rozmawia ze mną przyjemnie, lecz widocznie się śpieszy. Z początku było mi bardzo przykro, nie widziałam go ani na promenadzie, ani z jego kotką. Odważyłam się zapytać służącą, odpowiedziała, że pan hrabia pracuje w swoim pokoju całe rano. Lubię gdy mężczyzna pracuje, to mu dodaje powagi i robi go szlachetnym; mężczyzna, który nic nie robi... Droga mamo, Juliusz pracuje, pracuje cztery, pięć, a czasem sześć godzin dziennie. Później jest zamyślony, ale tak za to sympatyczny. Mówił mi, że kończy rozpoczętą pracę w willi Ha-

tam, a myśmy nic o tem nie wiedziały. Gdy skończy, powiedział, że przeczyta i przetłómaczy, będzie to uroczystość. Mamo, on bardzo ładnie tłómaczy.

Dnia... Prosiłam Juliusza, aby się przeniósł ze swoją pracą do mego salonu; z radością przyjął propozycyę. Ustawiono biórko obok okna, książki i papiery. Czyta i pisze, a ja zawsze znajdę powód wejścia do salonu; zwykle zostawiam umyślnie jakąś bagatelkę, aby po nią pójść. Wchodzę na palcach, przepraszam go, czasem mi nie odpowiada, nie słyszy; nie gniewam się, nie, ale zostawiam drzwi niezamknięte i widzę go dobrze; pisze, marszczy czoło, gniewa się, uśmiecha, czyta, przekreśla, poprawia i znów czyta, tryumfuje.

Raz pomyślałam — pójdę i pocałuję go w czoło. Mamo, idę—zaledwo stanęłam na progu, zarumieniłam się i uciekłam. Dobrze, że nie widział, umarłabym ze wstydu. Zawsze mam go na oku i jestem spokojna.

Dnia... Zwykle przed śniadaniem chodzę do kąpieli, przychodzi po mnie kotka. Już ja się tej kotki tak bardzo nie boję, zawsze atoli gdy wchodzi, drzwi przymykam, aby Juliuszowi nie przeszkadzać. Kotka mówi mi często moja droga, czyż to nie brzmi tak samo co mia cara. Może Juliusz również kiedyś powie mi moja

droga, dlatego powtarzam sobie moja droga, moja droga, i uśmiecham się.

Kąpiemy się razem; nigdybym się nie pokazała mojemu mężowi w stroju kąpielowym. Wygadałam się z tem przed znajomemi, śmiały się ze mnie serdecznie, one o niczem nie wiedzą. Moja mamo, napróżno płakałaś nademną w dzień ślubu...

Juliusz, jeżeli się nie zapisze, przychodzi po nas i czeka u brzegu, odprowadzamy kotkę do jej mamy i wracamy na śniadanie. Mamo, ja jestem bardzo grzeczna dla mojego męża i dlatego jestem smutna, bardzo smutna.

Dnia... Dwa razy wieczorem spostrzegłam, jak Juliusz z po za książki wpatrywał się we mnie. Udałam, że tego nie widzę, chciałam zostać naturalną, swobodną, może się zarumieniłam, nie jestem pewna, lecz pamiętam com myślała. Myślałam, czy ja też jestem ładną, chciałam być nawet piękną. Juliusz znów zaczął czytać, odetchnąłem i spojrzałam na niego, lecz i on w tej chwili oderwał wzrok od książki, spojrzenia nasze skrzyżowały się. Ja się zawstydziłam, Juliusz się uśmiechnął i czytał dalej. O godzinie jedenastej wstaje, mówi mi dobranoc, podaje rękę, ściska moją, a ja jeszcze ani razu wieczorem nie uściskałam jego ręki, nie mam sił, okropnie się wstydzę. Ale za to pierw-

sza go witam i ściskam serdecznie, tak, tylko rano!

Dnia... Droga mamo, jestem dziś w wybornym humorze. Juliusz pracuje, ale i twoja Ada ma zajęcie, i nie będzie się rumienić przed swoim mężem. Powiem ci pod sekretem, lecz to wielka tajemnica, nawet kotka nic o tem nie wie. Już od tygodnia biorę lekcye języka polskiego. Nie młody mężczyzna, ale bardzo cierpliwy, także Polak, uczy mię co dzień godzinę. Mamo. ogromne postępy! Kocham, kochasz, kocha, To znaczy ja kocham Juliusza, ty kochasz mnie, a Juliusz kogo kocha? Może on nikogo nie kocha... Niech już nikogo nie kocha, może później pokocha.

Dnia... Pytam się mego nauczyciela, co znaczy moja mała. Uśmiechnął się na to zapytanie ten poczciwy człowiek i odpowiedział mi, że podobnie często ojciec nazywa swoją córkę, narzeczony narzeczoną, a czasem mąż żonę, gdy ją kocha. Ostatniego wyrazu nie słyszałam, powtórzył mi dwa razy. Otóż Juliusz często patrząc na mnie, mówił do siebie: ładna moja mała. Ładna znaczy tyle co piękna, sama patrzałam w słowniku. Widzisz droga mamo, do jakich to odkryć prowadzi nauka ojczystej mowy swego męża. Mówić dla mnie po polsku, to tyle co połowę myśli i uczuć przejąć od tego, któ-

rego się powinno kochać i którego jest się żoną.

Dnia... Juliusz nareszcie skończył pracę, a zatem wieczorem było u nas zapowiedziane przyjęcie. Przyszła kotka z matką, a później, ach, mamo, mamo, wchodzi mój nauczyciel, znają się oddawna. Jakoś mi w głowinie się zawróciło, nie byłam zdolna wymówić ani jednego słowa. Juliusz jednak wyratował mię, przedstawiając swego starego przyjaciela. Nauczyciel się ukłonił, jak gdyby mię pierwszy raz widział i tym sposobem wróciła równowaga. Wie, czy nie wie Juliusz, w tem kwestya. Nauczyciel dał słowo milczeć. Po kolacyi mój mąż czytał nam urywki skończonego dzieła. Jest to krytyczny rozbiór naszych instytucyj i urządzeń. Czy uwierzysz mamo, że o wielu rzeczach dopiero dziś pierwszy raz słyszałam. Wzrastając z tem co nas otacza, zwykle, nie zwracamy na szczegóły uwagi. Następnie wszczęła się dyskusya, które instytucye z korzyścią należałoby przenieść do jego kraju. Ja milczałam, mama kotki czasem zabierała głos, a w końcu rozmowa utrzymymała się tylko między dwoma panami. Juliusz chodził po salonie, dowodził, rozprawiał i ani razu nie spojrzał na swoją ładną małą, ale i na kotkę nie patrzał, a mama kotki powiedziała mi: „Powinnaś go kochać, moje dziecię, bo w kraju wiele

się znajdzie, które mogą ci zazdrościć.“ Co tu zrobić, co tu zrobić. Ach te warunki, matko moja, ty nic nie wiesz, ale są warunki, okropne warunki; powiedział mi: póki ich sama pani nie zmienisz, ale jak? Żeby mię poprosił... Pierwszego dnia wszystko zepsułam. Zawsze ja jestem dumna ze swego męża, nie jest on płytki, jak stu innych, ani nędzny egoista, który tylko zdolny mieć pociąg do kobiety, dla siebie.

Dnia... Chociaż smutno i ciężko, jest mi dobrze, nawet pokochałam kotkę; lubi z nią rozmawiać, zawsze mu tyle naszczebioce tym językiem, tak podobnym do świergotania ptaków...

Juliusz uśmiechając się, często powtarza idealistce kotce: „Gdyby te ptaszki dały mi po piórku“. I to także jeden wiersz wielkiego ich poety. Nazwiska jego nie umiem jeszcze napisać, ale się nauczę. Twoje dziecko dużo się rzeczy nauczy i musi być mądre, bo ma rozumnego męża.

Kotka opowiedziała mi całą historyę: „Gdyby te ptaszki dały mi po piórku.“ Co za prześliczne obrazy i porywające wielkością sceny. Poemat ten ma tytuł Konrad Walenrod. Może i ja kiedyś będę znała literaturę polską. Literatura i język narodu, który piastuje w swem łonie ducha pewnej idei, to nowy odrębny świat myśli i prac. Tak mi Juliusz mówił dziś wieczór.

U nas w Anglii powtarzają, chcę i ufam, a więc tylko wytrwałości, czyż nie jestem Angielką, i czyż go nie kocham... Gdyby te ptaszki dały mi po piórku.

Nauczyciel mój wziął rękopism do przepisania, a Juliusz zapowiedział odpoczynek na cały tydzień.

Dnia... Juliusz z całą rozkoszą używa wakacyi. Wesoły, trzpiotowaty, tylko gdy jesteśmy sami, poważnieje. Może jestem za sztywna? Utrzymują, że Angielki są sztywne i zimne, dawniej tego nie widział i przecież mamo to nie jest prawdą...

Dziś całe rano bawił się dziećmi, on przepada za dziećmi, dziewczynki przeskakiwały przez sznur o zakład. Wygrany zakład kiss *) i pomarańcza, przegrany, deklamacya, kiss i pomarańcza. Wszystko to widziałam z okna mego pokoju. Z jakiemi poważnemi minkami dzieci dawały mu buzi i odbierały pomarańcze, a jak zabawnie deklamowały. Miałam ochotę uściskać je, ty wiesz mamo, że i ja kocham dzieci, ale ich mieć nie będę. Dawniej myślałam co innego...

Dzieci nie chciały go puścić, dwie dziewczynki płakały i tupały nóżkami, nie pomogły

---

*) Kiss, pocałunek.

ani pomarańcze, ani kiss, musiał zostać i został aż do samego śniadania. Płakały i tupały nóżkami, to dobry sposób, ale nie dla mnie; o cóż ja mam płakać i za co się gniewać?

Zmiana usposobienia Juliusza robi go nieustannie zajmującym i coraz więcej sympatycznym. Bawi się z dziećmi, sentymentalizuje z kotką, pisze poważne dzieła, chodzi na połów ostryg, rybacy i rybaczki przepadają za nim, i układa bukiety. Pozorna rozmaitość daje tak przyjemną całość charakteru.

Dnia... Mam nareszcie pianino w swoim pokoju; nauczyciel mój, który nie zdradził tajemnicy naszych lekcyj, wszystko mi ułatwił. Juliusz po herbacie rano czytał książkę, a ja, czekając na kotkę, grałam. Drzwi nie były zamknięte, przyszedł, patrzał się na mnie, widziałam go w lustrze. Odchodząc, drzwi jeszcze więcej otworzył.

Grałam balladę Szopena i jego nieporównane etudy. Mają oni prawo być dumni ze swego mistrza. Ballada jakaś dziwna w swem rozrzewnieniu, tęskna i wesoła, żal i nadzieja razem poplątane, jak wszystkie utwory Szopena, jak ich charakter, jak dziś moje serce. Czemuż ja dotąd nie umiem żadnej polskiej pieśni śpiewać? Po skończeniu przeszłam do salonu Juliusza, patrzał się na mnie jakoś dziwnie przyje-

mnie, wziął mię za rękę, zmięszałam się troszkę, ale się przecież nie broniłam.

— Mam pani coś ważnego powiedzieć.

— Słucham—odpowiadam.

— Nie mogę głośno, proszę przybliżyć uszko.

— Przecież nikogo nie ma w pokoju.

— Jednak jest to tak wielka tajemnica, że obawiam się.

Ach, moja mamo—i znowu serce mi biło, byłam zmięszana, nachylam się jednak.

— Troszkę bliżej—prosi Juliusz.

Jeszcze się troszkę pochylam — wchodzi kotka i znowu wszystko przepadło, lecz teraz, jak mamę kocham, nie z mojej winy. Mówił nam później, że tę balladę zna od młodości, razem się z nią wychowywał, i przy odgłosie jej melodyi wzrastał i nieraz sobie myślał, jakby mu było przyjemnie, gdyby kiedyś jego żona grywała tę samą balladę. On umie być bardzo eleganckim i wdzięcznym, rozumie każdą choćby najdelikatniejszą przysługę, dlatego robić mu małe przyjemności staje się rozkoszą. Czyżby to tylko jednak miało być tą wielką tajemnicą? Ciekawa jestem. Chciałam się go dziś wieczór spytać i jak zawsze brakło mi odwagi.

Dnia... Przez cały dzień Juliusz pracował w salonie z moim nauczycielem, dla tego lekcyi

dziś nie było, a tęskno mi za mojemi lekcyami. Pan profesor zaczął mi opowiadać literaturę polską od czasów panowania ostatniego króla.

Nadeszły zamówione książki z Londynu i Brukseli; rachowali, pisali, zaledwo podczas śniadania z grzeczności dla mnie mówili o zwyczajnych sprawach naszej morskiej kolonii.

Wieczorem zostaliśmy sami. Juliusz przysunął się do mnie tak blisko, że czułam jego oddech; pytał się, czy jestem usposobioną słuchać go uważnie pół godziny. On nie wie, że ja go zawsze uważnie słucham, a radabym słuchać ciągle. Rozpoczął tłómacząc się, że obowiązkiem obywatela kraju jest pracować w nim wszystkimi środkami, jakie ma do rozporządzenia. Kapitały w krajach, które nie są nimi przeciążone, należy używać na miejscu, aby tam wytwarzały produkcyjną pracę, zwiększały bogactwo narodowe, a zatem naturalnem następstwem tworzyły dobrobyt i cywilizacyę. I jeszcze wiele innych ładnych i szlachetnych rzeczy opowiadał, których Ada nie może spamiętać, ale wie, że go więcej za to kochać powinna, i to wie, że go kocha. Nareszcie mówił o swym projekcie założenia fabryki płótna w swojej ojczyźnie, gdzie najlepszy len się rodzi, a pomimo to przędzalni prawie nie ma, i zaproponował mi, czybym swoim kapitałem nie chciała przystąpić do spółki.

Nie chce dużo ryzykować w stronach, w których drogi handlowe nie są jeszcze odpowiednio wyrobione, i dlatego radził tylko z mej strony na początek przystąpić z udziałem trzech tysięcy funtów. Złożył mi wypracowany zarys tego przedsięwzięcia, pełen cyfr i rachunków. Mój nauczyciel ma jechać, zbadać na miejscu stosunki i obrać dogodne miejsce. W końcu prosił mię, abym mu po rozwadze i namyśle w parę dni dała odpowiedź. To mię trochę obeszło i zabolało; mówił jak do obcej, oczy mi łzami zaszły i dlatego odrzekłam żywo i bez namysłu:

— Czyż pan nie wiesz, że wszystko co mam, należy do niego?

Cóż ja powiedziałam! Zarumieniłam się, uczułam ogień na mej twarzy, zerwałam się i uciekłam do mego pokoju, zamykając drzwi, i płakałam z gniewu i żalu nad sobą. Moja mamo, jak to jest ciężko być żoną i jak trzeba być ostrożną. Czasem wymówi się jeden wyraz i żałuje całe życie. Ach, te warunki!

Dnia... Już po balu, druga godzina, serce się ściska, w głowie huczy, jakiś smutek i ból mię przejmują. Droga mamo, dziecko twoje bardzo nieszczęśliwe. Po cóż poszłam na ten bal nieznośny, aby na nim utracić spokój i nadzieję. A tak zaczynało być dobrze, tak jakoś rozkosznie. Nie byłam szczęśliwa, ale zdawało się, że

nią kiedyś może będę; był to stan, który najlepiej nazwać można oczekiwaniem szczęścia w przyjemnem udręczeniu, obok nadziei i wiary. Wierzyłam w Juliusza, a że miałam nadzieję, przecież jestem młodą; kochałam go, a on sam mówił: moja ładna mała. Cóż mi dziś zostało? nic. Jakaż to przerażająca pustka! Czy ja nie kocham?

Dnia... (nazajutrz). Muszę wszystko od początku napisać, może mi to ulży.

Kotka ze swoją mamą zaproponowały, abyśmy razem poszły na bal. Ucieszyłam się z projektu, gdyż pomyślałam sobie wiele przyjemnych rzeczy, chociażby dlatego, że lubię pasyami z Juliuszem walcować. Ach, jak walcuje!... Chciałabym jednak dać przed obcymi dowód powagi mężowskiej, i odpowiedziałam, że to należy od pozwolenia Juliusza.

— Będziemy go prosić — zadecydowały te panie.

— Panie Juliuszu — zaczyna kotka, spostrzegłszy mego męża, przecież pozwolisz Adzie pójść z nami na dzisiejszy bal i sam będziesz nam towarzyszył.

— Czy pozwolę?—rzekł Juliusz—zbyt ostre pytanie. Nigdy niczego nie zabraniam swej żonie, gdyż mam wiarę, że jej postępowanie jest zawsze zgodne z jej szlachetnem usposobieniem.

— Oto co się nazywa być eleganckim mę-

żem—powiedziała matka kotki, ja byłam dumna, a kotka klasnęła w ręce i zawołała:

— Ach, jak to dobrze; musisz pan tańczyć ze mną pierwszego kadryla.

Cały dzień zeszedł na przygotowaniach toalety. Pokojówka, którą mówiąc nawiasem, Juliusz psuje, pozwalając jej zbyt długo trajkotać, przysięgała, że będę najpiękniejszą, a ja, domyślasz się mamo, postanowiłam ubrać się podobnie jak na balu u bankiera Salmor. Pamiętasz mamo, pierwszy raz zobaczyłam Juliusza i pierwsza przedstawiłam go tobie. Podobał ci się, a ja mu dokuczałam i byłam bardzo śmiała. Potem już nigdy taką śmiałą nie byłam.

Nadchodzi wieczór, jestem ubrana, włosy tak samo uczesane, i jedna tylko biała zarumieniona róża, ta sama klamra po babce, i biała sukienka, przetykana srebrem. Otwierają drzwi, wchodzę i staję. Juliusz czekając na mnie, czytał; gdy spojrzał, jak mamę kocham, zawołał: ach!

Ja się unoszę iluzyami.

— A więc dziś powtórzymy poznanie — rzekł.

— Chociażby ze wszystkimi szczegółami.

— Ciepło, pani nie bierzesz bucików.

— Oprócz bucików — odpowiadam uśmiechając się. Pan nie tańczysz kadryla.

— Zdaje się—dodaje Juliusz—odpowiedziałem pani wtedy: nikogo nie znalazłem.

— A ja szukać nie chciałam.

— Tańczmy więc.

— Dobrze, drugiego... a teraz jedźmy, gdyż przyrzekłam kotce czekać na nią.

Bukiet od Juliusza był wspaniały, a mnie się zdawało, że zaczynam być na prawdę szczęśliwą, bo jeżeli mamy zacząć od początku, jest nadzieja, że się kiedyś skończyć musi. Mąż, starający się o swoją żonę, jakież to ciekawe i przyjemne.

Tak sobie marzyłam.

W sali balowej nie wiele zastaliśmy osób. Kotka biało i niebiesko przybrana, wyglądała jak idylla. Otulona gazami, zdawało się, że ukryła pod nie skrzydełka; to też Juliusz mówił jej, teraz już nie powiem: „gdyby te ptaszki dały mi po piórku“.

Muzyka zagrała walca, rozwijamy z gazów kotkę, nie znajdujemy skrzydeł, lecz jakby na skrzydłach otwiera bal z Juliuszem. Lubię się patrzeć.

Juliusz się zbliża.

— Korzystajmy z czasu i miejsca.

— Mąż z żoną — pytam się, podając mu ramię—cóż powiedzą?

— Mąż z żoną, o którą się stara.

Tańczyliśmy długo; objął mię mocno, przytuliłam się do niego i było mi dobrze. Ach, mamo, przecież ja jestem jego żoną.

— Tańczycie jak kochankowie—rzekła matka kotki.

Zaczęłam się bawić bukietem, a Juliusz coś odpowiedział, czego nie dosłyszałam.

Salon się wypełnia, mój mąż ciągle przy nas, wesoły, dowcipny. Tak było do końca pierwszego kadryla.

Poznaję ją, mamo, poznaję. Gdy pokojówka pierwszego dnia mówiła mi o niej, zadrżałam. Przechodzi z drugiego końca salonu, staje obok nas, poznają się z mamą kotki i naturalnie ze mną; nadchodzi Juliusz, wlepia w niego te rozżarzone węgle swych oczu, uśmiecha się— on się mięsza — ja muszę jej Juliusza przedstawić, porywa go, zabiera na cały wieczór, więzi. czaruje. Oczarowała. Zapomniał o nas, o wszystkich, o żonie, dziwny ogień strzelał mu z oczu, głos drżał, zdawał się być upojonym, nieprzytomnym. Oparta na jego ramieniu, pieściła go wzrokiem, nęciła uśmiechem. Zdawało się, że Juliusz oprócz niej nikogo nie widział. Kotka ze swoją mamą porozumiały się wzrokiem, a mnie tak się serce ścisnęło, jak gdyby nieszczęście zbliżało się do mnie.

— Czyż pan i na tym wieczorze szukasz

i zdaje się znalazłeś? — odzywam się do mego męża, gdy sobie przypomniał drugiego kadryla.

— Od pierwszego spotkania w Londynie przestałem szukać, a dziś przecież zapowiedziane są wakacye i nie zanosi się, aby się skończyć miały.

Odpowiedź nieco zagadkowa więcej mię jeszcze przygnębiła, pieszczoty kotki tylko rozdrażniły. Słyszę w około szmer uwielbienia dla niej. Ach, jaka piękna! Piękna rozkosznica cynizmem użycia, na tej twarzy nie ma nic, coby mogło przyciągać i zatrzymać. Któż jest ona?— zrujnowała lorda Burrard, a wieleż spowodowała pojedynków! Wszystko to mówią obok mnie, Juliusz przy niej inny zupełnie człowiek.

Czyż to warto z takim mozołem wypracowywać dla siebie ciche szczęście, i gdy zdaje się nam, że dochodzimy do celu, jedna—jedyna awanturnica, okryta blaskiem imienia, uzbrojona uśmiechem i namiętnym wzrokiem, niszczy całą naszą budowę i nadzieję. Czyż życie nie ma żadnych innych podstaw? prawd?... Więc bawmy się! zawołałam w duchu i zaczęłam szukać wzrokiem; nie znalazłam nikogo, a nawet sama myśl oburzyła mię. Nie pojmuję tego rodzaju zadośćuczynienia. Coraz było mi smutniej i ciężej.

Dla nich mężczyzn wolność i rozkosz—dla

nas wstyd, boleść i milczenie. Gdy już nie jesteśmy kochane, wolno nas porzucać; uciekają też od nas, lub, aby siebie usprawiedliwić, spotwarzają... Inaczej w naszej Anglii; tam mamy prawo i opinię za sobą, one nas bronią, a tu śmieją się tylko. Stary ten świat pełen niesprawiedliwości i przesądów; kobieta uczciwa i cicha niewolnicą—bachantka królową, bożyszczem. — Niewolnica musi podstępem zdobywać sobie władzę, lub intrygą i przewrotnością. Gardzę tymi środkami, i dlatego moja mamo ciężko mi.

Nazywają Polaków północnymi Francuzami. Nie wierzyłam w prawdziwość tego porównania; Juliusz był wesół, swobodny, lecz tak szlachetnie zapatrywał się na obowiązki człowieka. Co to mogą zrobić zwyczajne, pełne tylko ognia i namiętności oczy jednej zalotnicy!

Tańczą razem kadryla. Całą sztukę bezwstydnej kokieteryi rozwinęła. Szepce mu, aby się ku niej nachylał, uśmiecha się, a potem patrzy w jego oczy tak pieszczotliwie... Próżność mężczyzn jest wielka, Juliusz zdawał się być szczęśliwym i dumnym.

Nie tańczyłam. Spojrzał na mnie, uśmiechnął i lekko się skłonił. Zrobiło to na mnie wrażenie jakby pożegnania.

Wychodzimy. Juliusz mię prowadzi. Na środku salonu spotykamy ją, szła pod rękę ze

starym jenerałem. Zatrzymuje nas, do mnie się uśmiechnęła i lekko skłoniła głową, do Juliusza wyciągnęła rękę, ściska, wpatruje się.

— Adieu, adieu, adieu — ramember me: deklamuje z patetycznym komizmem — żegnam słowami Szekspira, gdyż pan masz coś w sobie z Hamleta.

— Nie widzę Ofelii—odparł Juliusz.

— Kogoż więc pan prowadzisz?— szepnęła ze złośliwym uśmiechem i odeszła.

Juliusz się zamyślił i tak w zadumie dojechaliśmy do domu. Deszcz padał, wszędzie woda, otworzył drzwiczki, i gdy wysiadałam, nie mówiąc nic, wziął swoją Ofelię na ręce i zaniósł aż na schody. Nie opierałam się, nie śmiałam go odpychać. A gdyby spostrzegł, że jestem zazdrosna, o co i za co?...

* *
*

Tentent kłusujących koni przerwał pisanie dziennika i pociągnął Adę do okna. Jeźdzcy zatrzymali się. Juliusz i stary jenerał jechali obok niej, dwóch konnych za nimi, wesołe rozmowy, przerywane śmiechem, dochodziły do okna patrzącej. Jenerał zatrzymał angielską klacz młodej damy. Juliusz zeskoczył z konia i wyciągnął

swoją rękę. Malutka nóżka, nieokryta amazonką, oparła się na jego dłoni, tak jak ręka na jego ramieniu. Za ręką pochylił się cały korpus i zdawało się, że ich usta dotknęły się, tak przysunęły się blisko.

Ada widziała wszystko, widziała, gdy jej podawał rękę i jak razem znikli w drzwiach hotelu.

Po chwili Juliusz przebrany zjawia się w salonie. Zaledwo zasiedli do śniadania, wchodzi służący, oznajmiając przyjazd barona Leatherdale.

— Pani, nadeszła chwila, w której powinniśmy się porozumieć stanowczo — rozpoczął Juliusz rozmowę po milczącem śniadaniu.

— Panie Juliuszu—odpowiada Ada, spuszczając oczy, drżącym ze wzruszenia głosem—jesteś pan dla mnie dobry, bardzo dobry, ja to rozumiem, potrafię ocenić i nie jestem niewdzięczna. Co do barona, jeszcze nie teraz, nie mam sił, nie chcę go widzieć.

— A zatem?

— Panie Juliuszu, jedźmy do Paryża.

— Do Paryża?

— Czy panu tak ciężko?

— Zdziwienie moje wcale nie oznacza niechęci wyjazdu, zostało po prostu wywołane raptownem postanowieniem. W każdym razie, po-

nieważ pani sobie życzysz, a mnie nic nie zatrzymuje, możemy jechać chociażby dzisiaj.

Ada się uśmiechnęła, oczy jej zaświeciły radością, na buzi zamigotały rumieńce, odżyła.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję — mówiła cicho—ja nie jestem rozkapryszona i niewdzięczna, później poznasz mię pan i lepiej i inaczej ocenisz.

Pakowano rzeczy; przyszedł przyjaciel stary a zarazem nauczyciel pomagać. Dzieweczka rozpromieniona, Juliusz zamyślony i uśmiechnięty, z upodobaniem spoglądał na spieszącą się swoją ładną małą.

— Dobrze pani hrabina robisz, że uciekasz—szeptała pokojówka — byłam na galeryi, widziałam wszystko. To ona, ta sama, a jakie oczy! Wszyscy się w niej kochają, zacząwszy od starego jenerała. Gniewało ją, że pan hrabia nie zwracał na nią uwagi i pewno chciała się zemścić, ale nic z tego. Jutro, gdy się dowie o wyjeździe, ze złości wybije jenerała.

Ada nie mówiąc ani słowa, wsunęła gadatliwej poczciwej Flamandzce dwa funty w rękę,

* * *

Pożegnanie, łzy w oczach, pośpiech, roztargnienie, świst lokomotywy, ostatnie uściśnienia, ostatnie wyrazy, uderzenia wagonów, po-

wiew chustek.... Zniknęło wszystko jak myśl, za myślą pragnienia, za niemi życie—i płynąca nieprzerwanie wieczność.

*

* *

Dnia... Od dwóch dni już jestem w Paryżu, stoimy w hotelu „de la Paix“. Z okna mego pokoju widać Wielką operę i Bulwary.

Twoja jedynaczka zdołała się uchronić przed niebezpieczeństwem i bardzo rada jest z siebie. W chwili wyjazdu spotkali się, przeczuciem wstrętu wiedzeni zmierzyli się wzrokiem, tak pewno patrzeliby na siebie podczas pojedynku. Baron cyniczny i wyzywający, Juliusz dumny i pogardliwy. Drżałam na całem ciele, siadając do powozu. Juliusz się odwrócił i więcej nie patrzał, tamten stał nieporuszony, szyderski i uśmiechnięty. Przypatrywałam się dobrze jego rysom. Mamo, jak ja mogłam się kochać w tym człowieku? Twoja Ada musiała być wtedy zaślepioną, lub moralnie stać bardzo nisko. Już się dziś wstydzę tej przeszłości. Kochać człowieka, który nie ma żadnej wydatnej strony w swym charakterze, żadnego lepszego celu życia, jest dla kobiety poniżeniem. Cóż ona kocha? kogo ona kocha?...

Kotka płakała, chociaż za parę tygodni zobaczę ją znowu. Dziwiłam się tej tkliwości.

Juliusz zwierzył się przedemną z obawy, czy czasem kotce nie zabraknie łez na wypadek prawdziwego dramatu. Drobiazgowa tkliwość rozszerza się w Polsce, truje młode serduszka, wytwarzając sentymentalizm, zabijający prawdziwe uczucie. Tak, moja mamo. Juliusz przez całą drogę rozmawiał ze mną poważnie o swych projektach i planach i o pracy na przyszłość, słuchałam go, rozpytywałam, prosząc o wyjaśnienia, z których się parę razy wprawdzie uśmiechał, lecz częściej chwalił moją bystrość poglądów.

Dopiero o północy zmęczona bezsenną nocą dnia wczorajszego, ranneni przerażeniem, wyjazdem, zasnęłam, marząc o tym smutnym kraju, którego kochać uczył mię, nie budząc dla niego litości, lecz przedstawiając nadzieję i potrzebę pracy. Jakiś nieokreślony pociąg uczuwam do tych ukochanych przez niego stron.

Czuję, że głowa moja pochyla się na jego ramię, i znowu czuję po chwili, jak Juliusz ująwszy mię lekko, kładzie głowę moją na poduszkę, leżącą na jego kolanach, okrywa szalem, odgarnia włosy z czoła, ale nie czuję, aby mię pocałował, chociaż się bardzo cicho zachowywałam, cichutko, że nie śmiałam oddychać. Nie pocałował swojej Ady, nie... zasnęłam. We śnie stanął przedemną baron i rozżarzone jego

oczy, uciekałam od nich do jakiejś zaczarowanej krainy zielonych łąk i niebieskich wód. Może to była Polska?

Dnia... Droga mamo! Znów mi tu zaczyna być spokojnie i dobrze. Juliusz mię nie opuszcza, jest prawie zawsze przy mnie i ze mną. Ulubioną naszą wycieczką po śniadaniu zwiedzać galeryę Luwru. Lubię malarstwo, a Juliusz jaki mameczko znawca.

Dawniej w Paryżu z ciotką Gertrudą chodziłyśmy tylko do sklepów kupować cacka, i baron z nami, który się chwalił, że wszelkie galerye i osobliwości nudzą go i męczą, dostaje na ich widok splinu. Ciocia Gertruda śmiała się, pewno dlatego, że to mówił Leatherdale, ja zaś przebaczałam mu myśląc, że nie można wszystkiego lubić.

Dziś pójdziemy, mówi Juliusz, z wizytą do Van-Dyka, a jutro do Murilla; przyjaciele ci nie obmówią nas, a zawsze serdecznie przyjmą. Idziemy, podaję mu rękę, przez drogę rozmawiamy o naszym znajomym, którego mamy odwiedzić. Juliusz opowiada mi jego życie, zdarzenia, wypadki i historyę obrazów. Wszystko to wie. Śmiejemy się razem, jest dowcipny, a ja coraz mniej nieśmiała. Przychodzimy do sali, w oczach mych rozjaśnia się, inaczej patrzę. Każdy obraz, oprócz, że jest dziełem sztuki

staje przedemną jako historya ducha epoki, w której był malowany. Przy tem Juliusz mówi tak swobodnie, jak gdyby się to działo wczoraj na salonach, lub na ulicy, on to widział, słyszał i wiernie mi wszystko maluje.

Mamo, ja nie jestem zazdrosna o Madonnę Murilla, chociaż się tak na nią patrzy, i wiele razy wychodzimy, nawet już z ostatniej sali, zawsze mi mówi: chodźmy na pożegnanie pokłonić się Madonnie. Idziemy do kwadratowej sali, siadamy na kanapce, patrzymy się i dopiero wtedy opuszczam galeryę. Nie jestem zazdrosna, prędzej byłabym nią o bohaterki Corregia lub Tiziana, i dlatego patrzę się i na aniołków i czasem wzdycham, ale westchnień mych Juliusz nie słyszy.

Dnia... Muszę rano wstawać i prędko się ubierać, szkoda czasu, gdyż mamy dużo do zrobienia. Lekcye języka polskiego znów się rozpoczęły; dobry nasz przyjaciel z Ostendy przy wyjeździe napisał list, i nowy nauczyciel zaraz się drugiego dnia przedstawił. Nie chciałam młodego, aby nie być skrępowaną, bo jakżeż można spytać się młodego profesora; Powiedz pan, jak się mówi po polsku: I love you *) (aj low ju),

*) Ja kocham ciebie. Kocham cię.

tem bardziej, gdy Juliusz mi mówił, że i Polacy podobnie jak Francuzi podlegają słabostce, sądząc, że wszystkie kobiety w nich się kochają.

— A pan?—zapytałam.

— Ja tylko nie sądzę, abyś się pani we mnie kochała—odpowiedział.

Tak zaskoczona, cóż miałam mówić? Ciekawa jestem, jakby się znalazła ciocia Gertruda, która chwali się, że z każdym mężczyzną da sobie radę...

Lekcye trwają od 10-ej do 11-ej rano. Paryzki mój profesor, pan major, nietylko, że jest poważny, ale nawet surowy. Zaraz na drugą lekcyę wąsy jego były mocno zalepione i podkręcone, a gęste siwiejące włosy podstrzyżone i zaczesane do góry, przytem spojrzenie ostre i groźne. Przemawia do mnie zwięźle i stanowczo, jak pewno zwykł mówić do rekruta: dwa razy mię przestrzegł: proszę uważać, — a na zapytanie o wykład literatury, odpowiedział krótko:

— Najprzód trzeba się nauczyć stać w szeregu i maszerować, a później dowodzić. Ja tu nie przychodzę na dykteryjki, lecz mam instrukcyę nauczyć mis czytać i wymawiać.

Powiedział mi mis; spuściłam oczy i znów je podniosłam, uśmiechając się jak można najprzyjemniej; pan major też widocznie stopniał,

w oczach mu zaświeciło, lekko poczerwieniał i głośno odchrząknął.

— Panie majorze, zbyt ostry jesteś, przerażasz rekrutów.

— Tylko podczas służby, po służbie zupełnie co innego.

— Znasz pan mojego męża?— przerywam.

— Jakżebym go nie znał, a przecież od niego dostałem instrukcyę.

— Od niego?

— A od kogoż, zapewne nie od ministra wojny, do stu piorunów. Powiedział mi wyraźnie: ucz wymawiać i troszkę rozumieć, a resztę mnie zostaw. I ma racyę, gdyż ja nie jestem ani od filozofii, ani od literatury.

— I nie prosił cię o sekret?

— Coś wspominał, lecz ja nie lubię dyplomacyi. Bo po co te wybiegi w małżeństwie. Mis jesteś żoną Polaka i powinnaś się nauczyć jego języka, gdy on włada twoim. Jeżeli się Polacy uczą dla Angielek po Angielsku, dlaczego Angielki nie miałyby się uczyć dla Polaków po Polsku?

Ach mamo, major otworzył mi oczy, ja tylko spełniam swoją powinność. Juliusz nie chcąc mi narzucać mych obowiązków, tak delikatnie, prawie niewidocznie zajmuje swoją małą. Sam nie uczy mię początków, aby nie żenować ma-

łej, nie upokarzać jej pamięci. I ja też nigdybym się na to nie zgodziła. Co innego major. Bawi mię ta srogość wojskowa, która topnieje od mego spojrzenia, jak wosk od ciepła na jego wąsach. Karrrtacze! — powtarza, gdy nie mogę dobrze wymówić swego nazwiska, to jest nazwiska mego męża, które noszę. Ładne jest, ale bardzo trudne do wymawiania.

Dnia... Obecnie u nas gwarno; przyjechała kotka z mamą i parę pań znajomych Juliusza z Polski. Bawimy się wesoło, są przyjemne i bardzo grzeczne, mówią mi, że jestem milionerka, tłómaczę się, przedstawiając całę prawdę.

— Wasze funty bardzo drogie; jeden funt, to naszych aż 50 złotych — odpowiadają z nabożeństwem.

Chociaż wesoło, dawniej z Juliuszem było mi nierównie przyjemniej. Często jestem zmęczona towarzystwem, a częściej jeszcze Juliusz nas same zostawia. Nie lubi być świadkiem, jak jego rodaczki przewracają całe sklepy, a mało kupują, nie mogąc się zdecydować. I mnie to trochę żenuje i radabym zostać z Juliuszem, lub jechać z nim do Wersalu, ale nie śmiem mu tego powiedzieć.

Jedna z pań zaproponowała, abyśmy wszystkie pojechały do Prado przypatrzyć się tańcom studentów z gryzetkami. Propozycya została

przyjętą, lecz Juliusz stanowczo oświadczył, że nie pozwoli swej żonie tam jechać. Powiedziawszy to, wyszedł do drugiego pokoju.

— A gdybym pana nie usłuchała?—pytam się Juliusza, idąc za nim.

— W takim razie wyjechałbym — odrzekł z poważną rezygnacyą.

— I zostawiłbyś pan mię samą?

— Przeciwnie, zostawiłbym panią w towarzystwie na Prado.

Zabolała mię bezwzględna złośliwość sarkazmu; nie odpowiedziałam ani słowa, wracając do salonu z zaciśniętemi ustami.

— Moje dziecko, zanadto jesteś bogata, abyś się pozwoliła teroryzować—rzekła do mnie jedna z pań, proponujących wycieczkę. Gdybyś była żoną mego Jasia, inaczejby się z tobą obchodził.

— O tak—dodały drugie — ulegasz niepotrzebnie.

— W jakim kościele brałaś ślub? — zapytała raptownie mama Jasia.

— W anglikańskim, w parafii, gdzie jest nasza willa.

— Masz i willę?

— I jeszcze sześć domów w Londynie.

Panie zamieniły między sobą znaczące spojrzenia.

Zostałam, rozważając ostatnią burzę. Chociaż jestem bogata, Juliusz mię teroryzuje; zatem nietylko bogactwo we mnie ceni, bo gdyby tak było, ulegałby. Jestem za biedną dla barona, bogatą dla Juliusza. Czyż tylko dlatego, że mam troszkę funtów? Teraz jestem pewna, że nie. Ale jaki on stanowczy, moja mamo. Czy sądzisz, żeby nie wyjechał? Pojechałby z pewnością.

Wieczorem przy herbacie odzywam się dobrotliwie:

— Czyż zawsze w dyskusyi jesteś pan tak złośliwy?

— Przebacz pani—odrzekł Juliusz—drażliwość moja najwięcej mnie samemu szkodzi. Przebacz mi — mówił pieszczotliwym głosem, wziął mię za rękę, chcąc ją podnieść do ust, zatrzymał się, patrząc mi w oczy, i powolutku pochylając się, pocałował.

— Istotnie dla ważnych powodów byłeś pan przeciwny mojej wycieczce?

— Tylko dlatego, aby nie widzieć swojej żony, wstydzącej się wobec samej siebie.

— A zatem i ja panu dziękuję i jestem mu wdzięczną za jego surowość.

Wstałam, podbiegłam, podając Juliuszowi rękę, którą długo całował, a mnie serce tak

znów zaczęło bić mocno, że aby odpocząć, odsunęłam się i usiadłam w fotelu.

Pierwsza potyczka małżeńska skończyła się przegraną, ale jakże dużo wygrałam. Teraz Juliusz trzy albo cztery razy na dzień całuje mię w rękę. Czyż to małe zwycięztwo? Gdyby więcej podobnych burz...

Dnia... Zamiast do Luwru, poszliśmy dziś do Palais de l'industrie na Elizejskie pola zwiedzić tegoroczną wystawę obrazów.

Nietylko duch epoki odbija się tutaj na płótnie, ale nawet kierunek charakterów, chwilowych usposobień, małych namiętności, a ośmieliłabym się powiedzieć, że i bezmyślność myśli. Inne jest malarstwo za czasów gorącej wiary, inne podczas reformacyi, a jakże odmienne dzisiaj.

— Tutaj się bawią, a tam (w Luwrze) rozkoszują—szepnął do mnie Juliusz, gdyśmy przechodzili od płótna, które w złoconych ramach przedstawiały pospolitość kompozycyi, często trywialność w wyborze przedmiotu, przy świetnej technice wykończenia—w naśladownictwie.

— I to się nazywa realizm — mówił dalej ironicznie—czyli inaczej prawda i rzeczywistość, która tylko wtedy ma być uważana za prawdziwą, gdy jest codzienną i powszednią, małą i niską... Lecz to nie wszystko, chodźmy dalej.

Zbliżamy się do wielkiego obrazu, kolory jaskrawe, lecz jasne i żywe, jak u Veronese, postacie poważne, surowe, których się z początku bać należy, aby je później szanować. Jakaś niewytłomaczona surowość wieje z całej kompozycyi i zdaje się odpychać, a jednak więzi i zatrzymuje na miejscu. Oczy patrzą i zamykają się znużone, i znów patrzą, odkrywając co raz nowe piękności. Jestem pewna, że to Kaulbachowskie dzieło. Przyglądam się dłużej, zmieniam zdanie. Nie ma filozoficznej sztywności, wysilenia w obmyślaniu planu, teatralnej pompy i powagi profesorskiej, nie, to nie Kaulbach.

— To Matejko, krakowianin — rzekł mi mój mąż—a oto czwarty z kolei wielki jego obraz historyczny.

— Matejko — odpowiedziałam zamyślając się.—Cóż za duch przebija we wszystkich twórczych jego dziełach?

— Duch nieśmiertelności — kończy myśl moją Juliusz.

Mimowolnie przytulam się do niego.—Opowiadana historya i twarze w obrazie stoją mi ciągle przed oczami. Moje dzieci będą także pracować... Moje dzieci... Cóż ja napisałam? A jednak napisałam prawdę, i gdyby się tak stało, byłabym dumną.

Mamo, gdyby nie ty, możebym nie została

żoną Juliusza, życie moje przeszłoby bez wybitnego celu. Praca dla społeczeństwa. Ta myśl wielka przygnębia mię, jeszcze się z nią mogę oswoić. Jest ona główną myślą Juliusza, zajmuje umysł i serce; chcąc się dostać do jego serca, trzeba iść po promieniach tej myśli.

Dnia... Droga mamo! Juliusz od dwóch dni bardzo smutny, dziś całą noc nie spał i pisał w salonie. Dwa razy wstawałam, patrząc przez dziurkę od klucza; zawsze jednakowo pochmurny i zbolały. Rano przyszło kilku panów, z którymi długo rozmawiał. Nie opuszczam go, jestem razem z nim, zdaje się jest mi wdzięczny, całuje mię serdecznie w rękę i czasem patrzy się w moje oczy.

Dla czego nie mogę przyjść do niego, przytulić jego głowy do mych piersi, pogłaskać i spytać się: cierpisz? masz zmartwienie i boleść? podziel się nią z twoją żoną, jak się dzielisz radością i uśmiechem. Tak powinnam zrobić, powinnam, ale czyż mogę? czyż która z kobiet na mojem miejscu zdobyłaby się na podobną odwagę?

Dnia... Negliżuje cię, widocznie negliżuje cię—powtarza mi matka Jasia. Gdyby to kto inny znalazł taki skarb.

— Cieszę się, że go Juliusz znalazł — mó-

wię z minką w połowie dumną, w połowie żartobliwą.

— Boś nie poznała lepszego. Juliusz bałamut i utracyusz, miał najmniej ze sześć romansów z samemi mężatkami.

— Muszę go zatem tyle kochać i pieścić, aby nie uczuł potrzeby mieć już żadnego więcej.

— Nic to nie pomoże, jak nie pomogło w Ostendzie. Przy tem marnotrawca, majątek nadwerężył, długów pełno, a głowa zajęta wielkiemi myślami.

— Będziemy długi płacić, a gdy nie wystarczy, sprzedamy domy i willę — odrzekłam uśmiechając się.

— Zobaczymy, gdy poznasz lepszego, zdanie zmienisz. Z początku zawsze jesteśmy zaślepione.

Widocznie mama Jasia ma na myśli swego jedynaka, który, przypuszczam, nie ma zaprzątniętej głowy wielkiemi myślami.

Dnia... Mamo, mamo, Juliusz co raz smutniejszy, i ja już miałam łzy w oczach. Co tu począć? Tak mi go żal. Pocieszyć, utulić, przecież jest obowiązkiem żony. To nawet niegodnie z mojej strony; nieuczciwie, patrzeć jak obca i milczeć. Nie jestem jego niewolnicą, co nie śmie się pytać, jestem Angielką i żoną. Zostawiać cały ciężar prac i boleści mężowi, zatrzy-

mując dla siebie rozkosz i zabawę, jak to jest nędzne, prawdziwie po francusku. Smutek na jego czole i ból w sercu—wtedy odchodzę, gdzie? bawić się. Uśmiech i radość — wracam, po co? bawić się. Czy tak powinnam pojmować obowiązki żony? Żoną nie jestem, siostrą być nie umiem. Trzeba czemś zostać nareszcie, tak być nie może... Tak być nie powinno—powiedział mi cicho w ową noc, gdy w mojem sercu zdawała się zamierać przeszłość po ostatnim wybuchu boleści, aby ustąpić miejsca nowemu życiu. Czym ja już go wtedy kochała? Może go kocham od chwili poznania na balu...

Ada długo myślała nad ostatnimi wierszami. Raptownie, prawie gorączkowo pochwyciła arkusz listowego papieru i pisze:

Droga mamo! Twoja córka bardzo nieszczęśliwa...

— Nieszczęśliwa? czyż ja jestem nieszczęśliwa? I cóżby sobie mama pomyślała? Pewno, że Juliusz ze mną źle się obchodzi,

Ćwiartka papieru rozdarta.

Droga mamo! Smutno mi i tęskno, okropnie tęskno...

— I tak źle—szepnęła. Mama przyjeżdża, napada na Juliusza, rozpytuje się, a ja ze wstydu umieram. Skarżyć się na swojego męża!...

Droga mamo! Czyż nigdy nie odwiedzisz

twoich dzieci? Kochają cię, tęsknią za tobą i niecierpliwie oczekują.

Z Londynu do Paryża tylko dziesięć godzin drogi.

Paryż, hotel de la Paix.

Twoje dzieci

Ada i Juliusz.

— Tak będzie najlepiej—rzekła z powagą.

List zaadresowany i wysłany.

Ada niespokojna zagląda w oczy Juliuszowi, radaby się łasić, a nie śmie, smutna, gdy on smutny i zadumany. Przy lekcyi roztargniona. Major nastawia marsa, nic nie pomaga, wąsy zakręcone, włosy najeżone—napróżno; zaklęcia nie skutkują, nawet kartacze nie robią wrażenia. Zamyślona, nieprzytomna. Nareszcie major zaczyna wierzyć, że to on stał się przyczyną udręczenia młodego serca i dlatego myje się i wyciera, że aż skóra pęka, wąsy otrzymują podwójną racyę smarowidła, a surdut zaczyna już glansu dostawać. W końcu po stoczonej walce z samym sobą, major szlachetny człowiek, postanowił zwierzyć się przed Juliuszem z pewności, jaką nabrał podczas lekcyj.

Dnia... Mama Jasia dziś rano przedstawiła swego jedynaka. Blondynek, o białej okrągłej buzi, bez wyrazu, a nawet myśli, sztywny, mówiący

bez ustanku, lecz monotonnie jak pozytywka. Mama rozkochana w swym jedynaku, badała ciekawie, jakie robi wrażenie na otaczających.

Zaproponowano przejażdżkę. Juliusz namawiał, i dlatego zgodziłam się jechać. Przez całą drogę mamin Jaś starał się mię olśnić, mówił o bezwarunkowem poświęceniu dla kobiety, o uległości i nareszcie o dziewiczości uczucia. Miałam ochotę podrażnić troszeczkę Juliusza Jasiem—niepodobna, ośmieszyłabym się tylko, Juliusz mię uprzedził, mówiąc przy obiedzie jak zawsze złośliwie.

— Nie wszystkich podobnych temu Jasiów znajdziesz pani w naszym kraju. Proszę się nie zniechęcać.

Aby już więcej nie być dręczoną poświęceniem Jasiowem, wymówiłam się przed jego mamą, że przy spisywaniu kontraktu ślubnego cały majątek swój zapisałam Juliuszowi, i chociaż rozwody u nas są łatwe, intercyzy zmienić niepodobna.

— Jakżeś mogła, jak mogła twoja matka na to pozwolić?

— Stało się—odrzekłam z rezygnacyą.

— Jesteś zgubiona, bo teraz zostajesz na łasce tego człowieka.

— Na łasce Juliusza. Oddać mu wszystko

i być na jego łasce. Oddać mu wszystko i wierzyć mu i być spokojną— to znaczy kochać go.

— A rozżarzone oczy markizy?

— Powrócił, nie myśli o nich; powrócił do swych prac i — i patrzy w moje oczy.

* *

*

— Przybywam w ważnej sprawie — rzekł major, wchodząc do pokoju Juliusza zapięty na wszystkie guziki—w ważnej i honorowej.

— Czy jako sekundant wyzwać mię?

— Do stu piorunów, to fraszka!

— Wobec wielkości sprawy, którą przynosisz?

— Tak.

— Musi być ciekawa. Słucham.

— Ciekawa, zaraz ciekawa, jakby ciekawość była wszystkiem. Tu o coś więcej idzie jak o ciekawość.

— Tem prędzej opowiadaj.

— Czy pan nie uważałeś? do milion kartaczy!

— Czego?

— Jak to czego? Na kogoż to mąż powinien najprzód uważać?

— Nie rozumiem.

— A ja nie wiem jak powiedzieć.

— W takim razie napisz mi.

— Jeszcze gorzej.

— Mów więc wyraźnie, jak komendę.

— Pańska żona od pewnego czasu roztargniona, jak rekrut przed batalią. Co to jest? myślę sobie. Spogląda na mnie jakoś dziwnie, pytam się, nie odpowiada, patrzy się i uśmiecha.

— Bo pewno za mało używasz powagi.

— Przeciwnie, jestem groźny jak przed batalionem.

— A może marsowa srogość tak silne zrobiła wrażenie na młodej osobie.

— Zdaje się... i dlatego postanowiłem ostrzedz i usunąć się.

— Tylko się nie usuwaj, majorze. Jeżeli już się stało nieszczęście, jak powiadasz, trzeba ostrożnie postępować, aby nie drażnić i nie powiększać tęsknoty.

— A cóż pan myślisz, do stu piorunów, że człowiek z marmuru, gdy pyta się już po raz trzeci—major nachyla się do ucha Juliusza—jak się po polsku wymawia: ja ciebie kocham.

— Moje dzieci! gdzie są moje dzieci?—dał się słyszeć głos w korytarzu.

Juliusz się zrywa, otwiera drzwi — pani Crossley w objęciach córki, serdecznie ściska

Juliusza. Ze wzruszenia ledwo mówić może, wchodzi do salonu, siada i ciężko oddycha.

Ada rozpromieniona śmieje się serdecznie i płacze — bardzo mało, troszeczkę.

— Juliuszu, jak ona wypiękniała, wyidealniała — rzekła po pewnym czasie pani Crossley. Przybladła, lecz jej z tem lepiej.

— Z tęsknoty za tobą.

— No, przyznaj się, moje dziecię, jesteś szczęśliwa?

— Bardzo — odpowiada Ada, tuląc się do matki.

— I kocha cię?

— Tak mi się zdaje.

— Tylko ci się zdaje?

— Nie, nie, mamo, już wierzę, jestem pewna.

— A ty kochasz go?

Dzieweczka zarumieniła się, tuląc buzię do piersi matki.

— Kiedy tak, to i ja jestem szczęśliwa. Juliuszu, podziękuj żonie i pocałuj ją w obecności mojej.

Ponieważ mama sobie życzy, Ada się zrywa, podchodzi, nadstawia czoło, które Juliusz całuje, zwraca się i ucieka do mamy.

Cały wieczór przepędzono razem, wśród

rozmowy pełnej wspomnień, zwierzań i opowiadań.

Juliusz odżył, rozweselił się, Ada szczebiocząc, promieniała radością. Ani się spostrzeżono, gdy wybiła północ.

Służąca pani Crossley przyszła pytać się o nocleg swej pani, oświadczając, że nie ma w całym hotelu ani jednego wolnego pokoju.

— Nic naturalniejszego—zdecydowała pani Crossley. Juliusz dla mnie odstąpi swego pokoju, a żona, jak być powinno, przyjmie go u siebie.

Ani jednego słowa opozycyi, stało się jak powiedziała.

Wszystkie rzeczy pani Crossley przeniesiono do pokoju Juliusza, a kufry Juliusza do salonu.

Dzieci odprowadziły mamę, ucałowały uszczęśliwioną i powróciły do siebie.

W salonie Ady Juliusz bierze za kapelusz.

— Pan wychodzisz?

— Szukać noclegu w drugim hotelu.

— A gdy nie znajdziesz?

— Pójdę nad brzeg Sekwany lub do Bulońskiego lasku.

— Idź pan, jeżeli.... jeżeli....

Wybuch tłumionego płaczu nie pozwolił dokończyć.

Juliusz rzuca kapelusz, obejmuje kibić swej małej, tuli jej główkę do piersi, powolutku prowadzi do kozetki, sadza na kolanach, ociera łzy, patrzy się długo w oczy, i nareszcie całuje w same różowe usteczka.

Mała w swe dłonie ujęła twarz jego.

— Jestem twoja!... A teraz do Polski, do twojej Polski, do naszej Polski, którą tak kochasz. Ja nie jestem tamta, nie umiem ci pomagać, ale ją kocham, tyle co ciebie, tylko i ty kochaj swoją małą, chociaż troszeczkę.

Powtórny pocałunek przerwał zwierzenia.

— A zemsta? moje dziecię — zapytuje Juliusz.

— I ja już gardzę jednostkami.

I było cicho, jak u progu szczęścia.

KONIEC.

ZIELONA LATARKA.

NOWELA.

„Komuż splatasz ślubny wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ty jednemu splatasz wieniec,
Zostawże łzy i rumieniec...“
Tomasz Zan.

I.

„O, piękne ty dziecię na kolanach matki,
Czem będziesz w przyszłości tajemniczej czasu?..
Kwitną tu na ziemi balsamiczne kwiatki —
Rosną tu zjadliwe trucizny upasu...
Czem chcesz być dziecię—czy Bożym aniołem,
Szatanem pychy w wieńcu płomienistym?
W ciemnościach mieć ognie płonące nad czołem,
Czy być na błękitach niebios blaskiem czystym?...
Czy chcesz być podobnym do tej gwiazdy świetnej,
Co w ponurej chwili srebrne światło sieje,
Czy wyrośnie z ciebie myśliciel szlachetny?...
Czem cię zrobią, dziecię, lat twoich koleje?...“

Ciężki, przytłumiony turkot nadjeżdżającego tramwaju, mieszającego się z hałasem wartkich kół omnibusów, uderzających o bruk kamienny, zagłuszył słowa dziewczęcia. Podniosła zmęczone oczy. Nie rzucały one spojrzeń tryumfującej

kokietki, ani uderzały głębią lub tajemniczą zagadką duszy. Spojrzała, jak patrzy zmęczony podróżny na koniec drogi, którego dojrzeć nie może, a nie śmie rachować się z siłami, lecz ma nadzieję, że wytrwa i dlatego jest cichy, oddycha swobodnie, głęboko i idzie dalej. Odetchnęła, przenosząc powtórnie wzrok na kartki książki, z której czytała. Latarka przymocowana do lewego jej ramienia, oblepiona zielonym papierem, tajemniczem światłem oblewała melancholijną jej twarz, rzucając na nią zielonawą bladość, która wywołałaby pewnie dziwny efekt fantastyczny, gdyby nie młodość — ta zawsze zwycięża uśmiechem i życiem—gdyby nie jasne rozpuszczone włosy, spływające falą po ramionach, targane przez wiatr, dziwnie ubarwione blaskiem światła, nie protestowały przeciwko dramatyzmowi, na korzyść ośmnastu lat...

— „O, piękne dziecię!“—czyta dalej dziewczę na wzniesieniu ustawionem z małych deszczułek.

„O, piękne ty dziecię wśród mojego sadu,
Śliczny druhu kwiatów, ptaków i motyli,
Jako kryształowy strumień wodospadu,
Czystsze i przejrzystsze jeszcześ jest w tej chwili...

. . . . . .

Nawoływania na Essek-rood przekupniów, śmiechy i opowiadania przechodzących, dziwnie

wpadały w ton dziewczęcego głosu i zdawały się być jakby akompaniamentem podnoszącej się i przycichającej burzy.

„Jakżesz dusza twoja jeszcze w tobie biała!
Jasna prawda błyszczy z oczu twych promieni!...
I tęcza nadziei ponad tobą pała,
Chociaż przez łez srebrnych drżącą mgłą się mieni..
Dla ciebie jest przyszłość, dla ciebie jest chwała,
Twoje panowanie wśród świata przestrzeni!...

Skończyła. Ciężka ta praca wśród wrzawy ulicznej czytać, tem więcej, gdy po każdem oderwaniu wzroku od książki, spostrzegamy zwiększającą się gromadkę słuchaczów, a w miarę jej wzrostu należy i głos podnosić. Zmęczona, wyjmuje chusteczkę, przyciska ją do ust i gładkie czoło obciera, a wstrząsa głową, aby włosy z ramion na kark zrzucić...

— *Sound! Sound!* — co znaczy tak dobrze zaklęcie żołnierskie, jak wykrzyknik mówcy w izbie gmin, a może być i wyrazem zdziwienia, radości, lub przerażenia... I jeszcze raz *Sound*! dało się słyszeć w tej chwili, wymówione głosem pięćdziesięcioletniego mężczyzny, stojącego tuż przy dziewczęciu. Pociągła jego twarz, zapadłe policzki i głęboko osadzone oczy, spoglądające na tłum ze spokojem dobroduszności, a nawet z pewnym rodzajem słodkiego wyrozumienia, przy ciemnej siwiejącej brodzie i długich wło-

sach, rozdzielonych na środku głowy, nadawały tej sympatycznej postaci pewną cechę mesyanicznego zaparcia.

Po skończonem nawoływaniu *Sound*, nastąpił wykład nowej teoryi, ułatwiający naukę czytania i wymawiania. Mówca, o ile mógł, tłómaczył się dobitnie i przekonywająco, dowodząc, że tylko jego metoda zniesie zwycięzko wszelką krytykę, bo jest najlepszą, najłatwiejszą, jedyną. Tylko jego sposób zdolny jest odrodzić ludzkość, ucząc dzieci łatwo i prędko czytać i wymawiać.

Propagator, wierząc głęboko w prawdę swych zasad, gotów oddać za nie majątek, gdyby go miał, i resztę dni życia, które mu jeszcze pozostają w zapasie, albowiem każda nowa idea, która nie jest poparta poświęceniem i wytrwałością, usycha, podobna do rosnącego kwiatu bez wody i ciepła... Łez, a często i krwi potrzeba do zwycięztwa nowej idei, gdziekolwiek ona powstaje: w katakumbach, na polu bitew, czy w głowie filozofa, przy nowych wynalazkach i odkryciach, w nauce i pedagogii...

W tej chwili przez gromadę słuchaczów przeciskał się rumiany, dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony, o płowych włosach i szaro-niebieskich oczach młodzieniec. Wysoki, czarny kapelusz na jego głowie i granatowy surdut na

ramionach, mamy prawo przypuszczać, że nie stanowią codziennego jego ubrania.

Nie czuje się w nim swobodnym jak wtedy, gdy miał czapkę na głowie, a surdut spoczywał zawieszony w warsztacie, co potwierdzają jego potężne dłonie i muskuły rąk.

Młody człowiek ukłonił się dziewczynie wprawdzie niezgrabnie, lecz za to z pewnym rodzajem zażyłości. Dziewczę, stojące na podniesieniu, w odpowiedzi kiwnęło protekcyonalnie główką, jak zwykły czynić młode osoby dobrym znajomym, którzy ich nic a nic nie interesują, a przedewszystkiem, zjawieniem się swem nie wywołują przyspieszonych uderzeń serduszka, od czego twarz różowieje, lub blednie na chwilę. Twarzyczka dziewczęcia była różowa od zmęczenia, a bladła, ile razy zielone światło latarki mocniej zamigotało.

Podczas gdy zapalony mówca silnym głosem dowodził, że na polu pedagogii mało uczyniono, bo mało ze strony jej propagatorów było poświęcenia, a za dużo rutyny, choć umiejętne wychowanie młodego pokolenia jest najważniejszem zagadnieniem dla odradzającego się społeczeństwa — młody człowiek dotarł do malutkiej estrady, odebrał paczkę książek z rąk apostoła, podniósł ją w górę dla pokazania zgromadzonym i odezwał się:

— A teraz już czas, abyście kupowali nową metodę; powtarzam, wielki czas, gdyż mis jest zmęczoną, a jej ojciec powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

— Przepraszam, jestem dopiero przy początku—przerwał mówca — albowiem nowe idee są niewyczerpane, a apostołowie ich niestrudzeni być muszą...

— Nie mówię tego, abyś sir miał już wszystko powiedzieć co wiesz; byłeś profesorem, to musisz umieć bardzo dużo rzeczy powiedzieć, ale powiedziałeś dosyć, aby przekonać o potrzebie kupowania twej książeczki. Za pena dwie książeczki! Nie jest to ani zbytek wydatku, ani wielka ofiara. Pena dwie książeczki i cóż?...

— Tu, tu, proszę — dały się słyszeć przeważnie cienkie głosiki kobiece, a w górze spostrzegać rączki z penami w palcach.

Sprzedaż szła pospiesznie, lecz niedługo. Korzystając z czasu, niestrudzony pedagog opowiedział ciekawym o swej wytrwałej walce, jaką prowadzi od lat dwudziestu w imię stworzonej przez siebie metody. Był wtedy profesorem, miał przyzwoitą posadę i dobre utrzymanie. Od chwili atoli nauczania dzieci podług swej metody, zazdrość, zawiść i rutyna, wystąpiły jak zawsze i wszędzie, do zażartego boju przeciw prawdzie. Wyrugowano go z zajętej pozycyi, ale nie zwy-

ciężono. Pierwsza w walce padła jego żona, cichy anioł poświęcenia!... Został sam, z córką tylko, lecz postanowił walczyć do ostatka, walczyć na placach publicznych i ulicach Londynu.

Na wspomnienie matki, dziewczynie oczy łzami zaszły; chowała je po za powieki i rzęsami rozbiła. Wobec obojętnego tłumu płakać? Nauczać go można, nawet przelewać za niego krew, gdy potrzeba, lecz płakać przed nim nad sobą—nigdy!

— Cóż to, tylko tyle? — zawołał barczysty młodzieniec—nie zdobędziecie się na parę penów więcej, za tak mądre książki i dobre rady?

Mis na estradzie zmarszczyła czoło, wzruszyła ramionami, że aż latarka zadrgała. Młodzieniec zmieszany przycichł. Nie mogła znieść najmniejszego cienia: prośby, natręctwa lub reklamy. Co innego jej ojciec, maester Silley, on nic nie widział po za nową metodą, nie rozróżniał środków do jej zwycięztwa, nie segregował ich. Wszyskie były dla niego wyborne.

— *Beautifull Child* (piękne dziecię), zaczęła mis z estrady odczytywać po raz drugi znany wiersz. Gdy skończyła, ojciec jej objaśnił słuchającą gromadkę o głównych zasadach nowej metody; poczem młody człowiek zapytał donośnym głosem szanownych gentlemanów, a

szczególniej ladys, która z nich chce nabyć piękne wiersze i wyborną metodę?

Gromadka słuchaczów nieustannie się odnawiała, zasilając się nowymi przybyszami, malała lub powiększała się, należało zatem często powtarzać wiersze i również często wygłaszać teoryę.

Wybiło wpół do jedenastej, lektorka stojąc nieporuszona na jednem miejscu ambonki, upada ze znużenia; głos jej coraz więcej ucicha, coraz słabiej wygłasza ojcowskie wiersze. Propagator nowej idei nie widzi tego; on pracuje dla odrodzenia ludzkości, gotów mówić niestrudzony noc całą, choćby tylko miał jednego słuchacza.

Nie widział ojciec po za nową metodą zmęczenia córki, lecz młody towarzysz nie posiadał ani przymiotów, ani wytrwałości propagatorskich, skorzystał z pierwszego przestanku i zawołał z powagą sędziego lub trybuna:

— *Stop!*

Nieśmiertelne w Anglii *Stop,* służy do wyrażenia zaprzestania walki, odpoczyku, jak i do komendy wojskowej stój! Na komendę słuchacze rozeszli się, dziewczę, oparłszy się o ramię ojca, zeszło z podniesienia, młody pomocnik złożył w jedną wiązkę cienkie listewki improwizowanej estrady, zabierając je z sobą. Ojciec podał ramię córce i razem we troje postępowali zwolna

wzdłuż Essexroad, kierując się ku stacyi omnibusów.

Ogólne zmęczenie nie zachęcało do rozmowy, a rezultaty ze sprzedaży książeczek nie były tak świetne, aby mogły wytworzyć dobry humor lub chęć do opowiadania.

Szli zwolna, jak robotnicy po całodziennej pracy, z pochylonemi głowami ze znużenia, milczący. Omnibus, do którego wsiedli, toczył się szparko po bruku, dziewczyna zdjęła kapelusz, oparła główkę na ramieniu ojca i zdawała się zasypiać. Młody człowiek widocznie skorzystał z tego wpatrując się w nią nieporuszony, gdy stary pedagog zagłębiony w myślach, marzył o dzieciach i ludzkości.

Dobrze im było i dlatego konie ciągnące omnibus pędziły wyciągniętym kłusem. Dobrze im było i dlatego w dziesięć minut konduktor krzyknął: Tottenham-cort Road!

Wysiedli. Młodzieniec zaproponował na odpoczynek i pokrzepienie sił szklankę ponczu; mis gniewnie spojrzała na niego, stanowczo protestując przeciw wszelkim gdziekolwiekbądź wstępowaniom, tem więcej, że herbata na nich czekała w domu. Młody człowiek zwrócił swoje prośby i nalegania do propagatora. Serca propagatorskie są łatwe do podejścia, podatne do urobienia i słabe, jeżeli tylko nie idzie o metodę

lub ideę — i dlatego pedagog zdecydował się wstąpić na szklankę ponczu, lecz sama mis nie czekając na zaproszenie, oddzieliła się od towarzystwa i pobiegła naprzód ku domowi.

W kilkanaście minut później w gościnnym pokoju swego mieszkania usiadła przed kominkiem rozżarzonych węgli, ręce założyła na szyję i zadumała się.

Gonić myśli młodego dziewczęcia, gonić lot jaskółki, promienie światła, lub fale wody... Gonić szybkie błyskawice uczucia, ambicyi, próżności lub poświęcenia; gonić szalone pragnienia dziecinne, gonić tęsknotę serca nie umiejącego sobie wytworzyć formy i nakreślić obrazu tego, za czem tęskni... Dziewczyna długo dumała, aż do chwili, gdy zastukano, a we drzwiach ukazali się nasi znajomi, rumiani i zadowoleni z siebie.

— Ojca będzie jutro boleć głowa, a pan potrafisz i możesz pić sam — zawołała zrywając się mis.

— Dick lubi wypić czasem szklankę ponczu ze swym starym przyjacielem — rzekł poważnie maester Silley, wyciągając rękę do młodego przyjaciela.—I cóż w tem jest złego?

— Mis dobrze wiesz — mówił ze spokojem młody człowiek—dlaczego czasem piję. Piję, gdy mi gardło ściska żal, piję, gdy mi się serce

ściska i będę pił na złość, póki nie umrę jak ostatnie bydlę!

Zakończenie wymówione zostało z dramatycznym patosem, wywołując uśmiech na ustach mis Mary Silley, a na twarz rumieniec.

Przyjemnie jest być kochaną, gdy miłość dochodzi aż do ściskania gardła i serca i aż do uspakajania miłosnej tęsknoty ponczem — przyjemnie, chociaż się nie uczuwa wzajemności.

— Dick, nie mów nigdy w mojej obecności nic podobnego—zabrał głos profesor — gdyż byłbym zdolnym cię posądzić, że nie jesteś człowiekiem idei, a nawet, że nie jesteś mężem silnej woli.

Dla przerwania drażliwej dyskusyi, Dick sięgnął do kieszeni, wyjmując garstkę miedzianych penów.

— Sprzedałem dziś — zaczął, rachując na stole peny—siedmnaście par książeczek, zatem powinno być siedmnaście penów. Aże jedna lady, zamiast pena dała dwa szylingi i...

— Nieprawda!—zawołała żywo mis Mary.

— Nie przerywaj, moje dziecko — zadecydował spokojnie ojciec.

— A jeden gentelman szylinga—mówił dalej spokojnie Dick—zatem mamy piętnaście sztuk penów i trzy szylingi, co wynosi razem cztery szylingi i trzy peny.

— Nieprawda — zawołała powtórnie mis— oszukujesz nas pan, oszukujesz mego ojca.

— Ja nikogo nie oszukuję! — odparł dumnie Dick.

— Powtarzam, zwodzisz mego poczciwego ojca, który ci wierzy jak dziecko. Nie było żadnej lady i żadnego gentelmena, którzyby dawali szylingi zamiast penów, a my bez ofiar obejdziemy się, nie mamy ich czem wynagradzać.

— Nie widziałaś mis, bo nie byłaś w stanie dojrzeć, czy to były szylingi, czy peny, a mówisz, aby mi tylko dokuczyć, maltretować mnie!

— Jakto, moje dziecię—przerwał zdumiony apostoł — nie przypuszczasz nawet istnienia w Londynie zentuzyazmowanych dla naszej metody ludzi, którzyby zamiast penów, dawali szylingi. A pamiętasz niespełna rok temu młodego gentelmana, gdyśmy propagowali na Piccadilly, który za dwie książeczki ofiarował ci funt. Ty zaś zawołałaś gniewnie, że nie masz drobnych, aby mu zdać resztę. Wtedy gentelman zwrócił się do mnie, a podając mi pięciofuntowy papier, dodał: „Kupuj, ojcze, dużo cukierków twej córce, to ją zrobi słodszą, jeszcze bardzo cierpka...“

— Czy sir jesteś zentuzyazmowany dla na-

szej metody? — zapytałem się, zanim przyjąłem pieniądze.

— Niewypowiedzianie—odrzekł—i radbym, abyś wychowywał podług twej metody nasze dzieci...

Wspomnienie to rzuciło ognie na twarz mis Mary, a Dick zacisnął pięście, oglądając się, jakby szukał młodego entuzyasty nowej metody, aby mu co najmniej boksami żebra połamać.

— Czyż i ty, moja córko—przerwał ogólną ciszę ojciec—miałabyś upadać na duchu i wątpić?

— Mis wątpi we wszystko—dodał Dick.

— Cicho pan bądź—przerwało dziewczę gniewnie — bo wiesz najlepiej o ile mówię prawdę. Późno, zmęczona jestem, dobranoc panom.

Na te słowa Dick się zerwał, uścisnął rękę staremu, skłonił się niezgrabnie mis i wyszedł.

— Mary—rzekł poważnie entuzyasta, gdy zostali sami — powiedz mi otwarcie, za co maltretujesz tego dobrego chłopca?

— Bo, kochany ojcze, nie chcę od niego przyjmować jałmużny!...

— Przypuszczam, moje dziecię, przypuszczam na chwilę, że dokłada te parę szylingów z własnej kieszeni.,.

— I czyż to ojca nie gniewa?

— Jeżeli Dick usiłuje coś uczynić dla naszej idei, powiedz, czyż mam go odpychać?...

— Dla jakiej idei? — zawołała gwałtownie, zapominając się, mis.

— Mary! jesteś dziś nieprzytomna, pytasz się jak obca!

— Mój ojcze, Dick dla idei, to zawiele!

— Nie, to wcale nie zawiele, albowiem każda nowa idea, naprzód trafiła do prostaczków. I jeżeli Dick chce działać i robić dla niej co może, nie mamy prawa przeszkadzać mu, my, cośmy dla naszej sprawy poświęcili wszystko. Od dziś naddatki Dicka odkładam na drugie powiększone wydanie.

— Dobranoc, drogi ojcze—szepnęła pokonana dziewczyna. Zagniewana, nie zbliżyła się pocałować starego.

— Dziecko moje, odchodzisz bez pożegnania. Cóż ci uczyniłem?...

Dziecko podeszło, oparło główkę na piersiach ojca, a z poza długich rzęs cicho płynęły łzy po jej twarzy.

— Płaczesz z żalu do ojca, cóż zawiniłem?

— Nie, ojcze, ja płaczę z żalu za matką — odpowiedziała cicho.

— Ojciec nie wystarcza, potrzeba ci pieszczot matki i jej rad... zwierzeń przed nią. Stary ojciec, dziwak, nie może wystarczyć. Nie umie on podsłuchiwać bicia młodego serca, ani zrozumieć jego skarg. Ha! sierotom jak my, zo-

stała jedynie praca, wiara w siebie i idea. Połóż się, moje dziecko, i zaśnij. Sen pokrzepia i rodzi wesołe myśli...

Rozżalona na świat i ludzi dziewczyna, zasnęła, aby rano nazajutrz wstać, przygotować ojcu i sobie śniadanie, ubrać się i wyjść na dziewięć godzin ciężkiej pracy, z nadzieją zarobku szesnastu szylingów na tydzień.

Ciężka praca i młodość. Młodość żartuje sobie z pracy, przez czas długo wlokących się godzin nabija sobie główkę marzeniami i nadzieją i bawi się wybornie. Nadzieja przyspiesza bicie serca, które skacząc z radości, rumieni twarzyczkę i iskry radości z oczu wyrzuca.

Dziś mis Mary nie będzie miała przymocowanej zielonej latarki do ramienia, nie będzie stać na drewnianej estradzie, wykonanej przez Dicka, stolarza i snycerza, zarabiającego sześć razy tyle co Mary... Lecz cóż to mis Mary obchodzi, gdy o siódmej godzinie wieczorem, ubrana w nową sukienkę, którą sama sobie uszyła, w ciemnym kapeluszu, okrywającym jej zamyślone czoło, z pod którego złote włosy rozlewają się kaskadą, dostaje się na stacyę kolei żelaznej, tunelem dojeżdża do Kings-Cross, wybiega na Pentonvile-Road i idąc pod górę, dostaje się na szeroką i wspaniałą ulicę Isligtonu zwaną Upperstreet!

Mis Mary zdaje się być dziś trochę niespokojną i nieśmiałą, ogląda się i nasłuchuje, przyspiesza kroku, aby po chwilce zatrzymać się i wolno iść dalej.

Przeszła całą ulicę i nie spostrzegła nikogo, ktoby na jej uwagę zasługiwał. Westchnęła, zamyśliła się i wolno postępowała dalej.

Nareszcie czarne wąsiki, smagława twarz i para ciemnych oczu, kapelusz nieco pochylony na bakier, rękawiczki i laska ze złotą gałką a wszystko razem ujęte w zgrabną całość młodego gentelmana, stanęło tak nagle przed nią, że przestraszona, nie wiedząc co począć, zarumieniona spuściła oczy, przyspieszając kroku. W krótkim czasie jednak opamiętała się, zwolniła kroku i obejrzała się. Młody gentelman był daleko.

II.

— Może na ciebie nie spojrzał—pomyślała — może cię nie widział, a ty drżysz, rumienisz się i uciekasz? Otóż nie będę drżeć, rumienić się i uciekać.—Mis tupnęła nogą i zawróciła.

Nie długo czekała na powtórne spotkanie. Serce jej biło, ale nie drżała, a nawet się nie zarumieniła, lecz uśmiechnięta wdzięcznie, pa-

trzała tak czarodziejsko, że aż młody gentelman przystanął, również się uśmiechnął, jak mógł najprzyjemniej, i obróciwszy się patrzał za odchodzącą długą chwilę. Widziała dobrze te obserwacye w ukośnie stojącem lustrze jednego z magazynów.

Tryumf wielki, zainteresowanie się widoczne, lecz należało dziś poprzestać na tem, aby się zbyt nie awanturować, aby nie pomyślano, że chcemy się narzucać. Na samo przypuszczenie takiej myśli, duma bodzie nas w samo serce.

Dosyć już na dziś — dosyć!—Pierwszy to raz w życiu dowiodła odwagi i zręczności i pierwszy raz w życiu uwielbionego od roku w skrytości z daleka, przeszyla z bliska spojrzeniem, a rozkosznym uśmiechem przykuła do miejsca. Mis zadrżała z radości, chciała poskoczyć, lecz przelękła się tej myśli. A może on idzie za nią? Na skręcie ulicy stanęła, odwróciła się i długo patrzała — nie było nikogo.

— Pewnie nie śmiał—szepnęła—musi być delikatny i nieśmiały. Mógłby być nieco śmielszym, a może, może przebaczonoby mu natręctwo.

Wszystkiego odrazu wymagać nie można; stanął, obejrzał się i patrzał. Czyż to mało na pierwsze spotkanie?

Od wielkich rezerwoarów, dostarczających wody dla całego Ilingstonu, mis zbiega na dół,

wpada na stacyę kolei, wbiega do wagonu i szczęśliwa, jak już dawno nie była, wraca do domu. Młodości, cała tajemnica twego szczęścia leży w tem, że tak mało potrzebujesz do radości i smutku—uśmiechu i łez!

Tea-cakes równo przyrumienione, herbata gorąca, ryba, którą mis wracając kupiła dla ojca, wybornie usmażona, ogień wesoło plonący na kominie, tworzą całość serdeczną w małym, cichym domku. Mis dziś nikomu nie dokucza, nawet Dick został obdarzony pewnemi względami.

Na ten widok entuzyasta zatarł nieznacznie ręce i rozpromieniał radością, a niezgrabnemu Dickowi łzy zaszkliły się w oczach ze wzruszenia.

Takie już nasze uspobienie, lubimy dookoła siebie rozsiewać szczęście, gdyśmy sami szczęśliwi, choćby ono zabić miało tych, którym dziś je oddajemy. Nie jesteśmy egoistami, broń Boże! tylko nie lubimy smutnych, gdyśmy sami szczęśliwi.

Po wieczerzy mis zaproponowała spacer, przyjęty przez Dicka i ojca z uniesieniem. Mis pod rękę z ojcem, obok niej promieniejący, zgrabny, dobrze zbudowany Dick. Rozmawiano wesoło, Mary objawiała wyborny humor, Dick śmiał się głośno, szlachetny propagator marzył

głośno o zwycięztwie swych idei i rozpowiadał o planie założenia nowej wielkicj szkoły, z pomocą której miał pokonać nieprzyjaciół światła!...

Dick również odważył się na parę oddalonych i niewyraźnie zakreślonych rysów ze swych projektów na przyszłość.

Jedna Mary milczała jak człowiek, który dużo myśli i wiele się spodziewa... „Uśmiechnął się, stanął, obrócił i patrzał długo...“ Po każdem uprzytomnieniu sobie tej sceny, mis wybuchała potokami wesołości, a nawet zgodziła się na propozycyę Dicka wstąpienia do cukierni, przyjęła porcyę lodów i wiele zabawnych rzeczy opowiedziała.

Maester Silley korzystając z dobrego humoru córki, postanawia wyzyskać go dla idei, proponując na jutro propagandę. Mis przyjmuje wezwanie z warunkiem, aby pojutrze należało do niej bezwarunkowo.

Dick miał dziś odrazę do brandy, whiski, koniaku, ponczu, a wielką ochotę dla złożenia dowodów swych uczuć, stoczyć stanowczą, decydującą walkę na boksy z pierwszym lepszym spotkanym na swej drodze elegantem. Wystrojonych elegantów nienawidził.

Jedno rozjaśnienie oblicza kobiety w małem

kółku, kika wyrazów ciepłych, łagodne spojrzenie i dobroć jej, pozwalająca na nadzieję, sprawiły te cuda.

III.

Komu splatasz ślubny wieniec,
Z róż, lilii i tymianka?
Ty jednemu splatasz wieniec,
Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec,
Z róż, lilii i tymianka.

. . . . . .

Nie była to włosko-operowa melodya, a raczej recitativo, pełne serdecznej skargi w opowiadaniu. Wylatując z otwartego okna drugiego piętra, tułało się po małych ogródkach Edward-street i wciskało się również do małych domków. W parę chwil potem, dla dopełnienia całości, następowała melodyjna pieśń, smutna jak „przeciekające łzy w serca dobrego człowieka....“

Mary nieraz już słyszała recitativo i melodyjną pieśń, była zaintrygowana przyjemnym głosem, nieznanym językiem, recitativem i melodyą.

Jeżeli młoda dziewczyna ma swego niewolnika, to nie istnieje dla niej fantazya, którejby mu nie kazała spełnić.

— Ojcze, słyszysz ten śpiew? — odezwała się w obecności Dicka. — Już to włosi śpiewać umieją, jestem pewna, że to włoch śpiewa po włosku.

— Podzielam twoje zdanie — odrzekł profesor—gdyż i ja zostaję pod wrażeniem, że świegotliwy ten język jest albo włoskim, albo hiszpańskim.

— Panie Dick, jeżeli się nie mylę, śpiew wybiega z drugiego piętra trzeciego domu.

Dick pobiegł do ogródka i wrócił natychmiast, oświadczając, że mis Mary jak zawsze tak i tym razem nie omyliła się.

— Dziękuję panu — odrzekła obojętnie dziewczyna, a zwracając się do ojca, dodała:

— Ojcze, nie jesteś ciekawy, jaką jest treść smutno śpiewanych tych strof?

— Słuchałbym, gdyby mi kto przetłómaczył, lecz abym miał być aż ciekawym?... Prawdziwy uczony i prawdziwy gentelman nie powinni być ciekawi i pewno nimi nie są.

— Mnie się zdaje—odparła mis—że w tych wierszach kryje się straszna historya lub nieszczęśliwy romans...

— Być może, moje dziecię, lecz ja nie jestem w stanie objaśnić cię, choćbym pragnął.

— Wiem, drogi ojcze, że mnie nigdy i nikt nie chce zrobić najmniejszej przyjemności. Gdy-

bym była mężczyzną, poszłabym do śpiewającego gentelmana i powiedziała mu: „Sir, powiedz mi treść twojej smutnej piosenki!“

— A gdyby opowiedział—przerwał Dick— „Co tobie głupcze do tego?...“

— Ja pana nie proszę, wiem, że jesteś niezgrabny i nie wiesz, jak się z ludźmi delikatnie i zręcznie obchodzić. Ja wiem...

— Czemu mis—przerwał chłopiec—nie mówisz wyraźnie: „Dick, idź i dowiedz się, bo ja tak chcę, idź, choćby ci drzwi pokazano.“ Pójdzie milcząc i nie będzie się skarżył, chociaż go za drzwi wyrzucą.

Dick zerwał się i wyszedł. Mary udawała obojętną i zamyśloną, nie śmiejąc spojrzeć na ojca. Lecz ten nie słyszał, myśląc w tej chwili o drugiem wydaniu swej metody.

Tymczasem Dick otwierał drzwi do mieszkania nieznajomego.

— Sir, musisz być uczonym i pewnie nim jesteś—rzekł nieśmiało, obracając w rękach swój kapelusz.

— Po czem to poznajesz, mój przyjacielu? — odparł trzydziestoletni mężczyzna o łagodnem wejrzeniu.

— Po tem, że widzę dużo książek na twym stole i sir ładnie śpiewasz, jak mówi mis Mary; i ja to samo utrzymuję i Siley, jej ojciec powiada...

— Naprzód połóż kapelusz — przerwał gospodarz—gdyż jest obawa, abyś go nie połamał, a potem siadaj.

— Co do kapelusza, to prawda, ja bym go w kawałki poszarpał, a co do drugiego, nie chcę ci, sir, zabierać czasu.

— Zabieraj go, ile ci się podoba i usiadłszy, opowiedz mi, za co się chcesz mścić na twym kapeluszu?...

— Nietylko na kapeluszu, ja się chcę mścić na całym świecie; ale to długa historya, gdy tymczasem cierpię i cierpię...

— Cierpisz, chociaż nie wyglądasz na chorego. Jestem doktorem, może co poradzimy.

— Nie mam ja, sir, febry, ani mnie głowa nie boli...

— Doktorom udaje się nieraz leczyć i chore serca—przerwał eskulap.

— Ale nie takie jak moje. Czyż się to da wyleczyć, naprzykład mówi: „Idź, bo ja tak chcę, i przynieś mi od gentelmana na piśmie przetłómaczoną piosenkę, którą śpiewa...“ I człowiek jest tyle słaby — rzekł z mocą Dick, uderzając z lekka pięścią w stół—że nie ma sił się oprzeć; nie ma sił odpowiedzieć, że to prosta napaść na nietykalne mieszkanie...

— Kazała ci pójść po tłómaczenie piosenki?—powtórzył doktór.

— Tak, sir, kazała mis Mary, córka profesora Siley, i gdyby kazała iść do piekła, poszedłbym go szukać.

— Filucie, chcesz wzbudzić moją litość, wiesz ty dobrze, jaka cię nagroda czeka, gdy przetłómaczoną piosenkę przyniesiesz.

— Żadna, sir, przysięgam ci, sir, żadna, nawet mi ręki nie poda, nie uśmiechnie się.

— A jednak ci rozkazuje!...

— Nie wprost; zawsze tylko ojcu swemu się skarży.

— Miałażby cię nie kochać?

— To pewna, sir, że nawet nie pomyślała o tem nigdy, a ja, jabym oddał za nią życie i nie skarżyłbym się nikomu. Bo i dlaczego miałbym się skarżyć, gdyby ona tego chciała.

Chłopcu łzy zaświeciły w oczach.

— Któż odgadnie serce kobiety—rzekł poważnie doktór.

— Nikt, sir, nie odgadnie i ja również nie odgadnę. Gdym ją zobaczył dwa lata temu, z zieloną latarką, przypiętą do ramienia, deklamującą na ulicy na zimnie i wietrze wiersze swego ojca, uczułem, jak gdyby ktoś wpakował mi rękę pod żebra i ścisnął je, że aż zatrzeszczały.

Doktór porównanie znalazł wybornem.

— Sir, tak mi się zdawało, a to tak tylko

żal ścisnął moje serce, i wtedy mi coś szepnęło: „Dick, idź tam, idź tam do tych ludzi, a już nie będziesz sierotą...“

— I poszedłeś?

— Poszedłem i czuję się teraz większym sierotą, niż dawniej. Zielona latarka zgubiła mnie, sir. Gdyby nie zielona latarka, nie spojrzałbym nawet. Ona to zwabiła mnie swym blaskiem.

— Może u młodej mis nie zbudziło się jeszcze serce—uczynił uwagę doktór.

— Alboż ja wiem, sir, jak się zachowuje serce, gdy się zbudzi? To tylko wiem, że ona go nie ma dla mnie.

— Może i ma, tylko uczucie dla ciebie głęboko ukryła.

— Pewno tak głęboko, że go nigdy nie zobaczę.

— Należy się postarać wydobyć je na jaw.

— Czemże sir, czem?

— Jakąś nadzwyczajnością, poświęceniem, romantycznym wypadkiem.

— Romantycznym wypadkiem?—powtórzył Dick na pół głośno, zamyślając się.—Zaczynam pojmować!

— Nie przypuszczasz, aby mis Mary kochała kogo innego?

— Na to pytanie, chłopiec zbladł, odrzekł jednak ze spokojem:

— Dotąd nie mam najmniejszego prawa robić podobnych przypuszczeń.

— Czasem młode mis umieją zręcznie się maskować.

W takim razie nic mi nie pozostanie jak jechać do Australii.

— Zanim rozpoczniemy odwrót—przerwał doktór—należy wyczerpać wszystkie środki ataku. Wytrwałość jest głównym przymiotem zdobiącym charakter anglików. A jeżeli na dnie serca jej, rozumiesz, na dnie serca, jest coś dla ciebie, to coś wydobędziemy...

— Sir mówisz jak uczony i jak przyjaciel, pozwalasz mi mieć nadzieję. Nie mów, sir, dłużej, bo oszaleję z wdzięczności — zawołał Dick, wpadając, zwyczajem zakochanych, z ostateczności zwątpienia, w ostateczność nadziei.

— Mis Mary pewnie jest tą ładną i łagodną blondynką, podlewającą często kwiaty w trzecim od mego okna ogródku...

To ona, sir, ona, ta sama — zawołał Dick z pewną dumą.

Doktór zaczął pisać, a Dick z uszanowania i radości nie śmiał głośno oddychać.

— Oto są wiersze piosenki, przetłómaczo-

nej na język angielski prozą. Posłuchaj, abyś je mógł również mis Mary odczytać.

Gdy doktór skończył, zakochany Dick zerwał się ze stołka.

— Sir—odezwał się nieśmiało — te śliczne włoskie wiersze, to jakby umyślnie dla mnie napisane. I ja się jej, sir, teraz zapytam: „Komu ślubny splatasz wieniec?“...

— Ależ to wcale nie są włoskie wiersze...

— Mis Mary i jej uczony ojciec powiedzieli, że muszą być włoskie.

— Pomimo to wiersze te są polskie, tak jak ja jestem polakiem.

— Tem lepiej, sir, tem lepiej, bo ja, mis Mary i jej ojciec, lubimy polaków i lubimy ich więcej, niż wszystkich innych...

— Cieszy mnie wasza sympatya.

— I teraz, ponieważ sir jesteś polakiem, z tem większą otwartością i zaufaniem, ośmielam się prosić cię o radę, co mam dalej biedny począć?

— Powtarzam—odpowiedział doktór—trzeba jakiejś nadzwyczajności, szczęśliwego trafu i zdarzonej sposobności do poświęcenia.

— Rozumiem cię, sir, i serdecznie ci dziękuję.

— Powiedz mis Mary, oddając jej wier-

sze, że do nich przywiązana jest ciekawa historya nieszczęśliwego i strasznego romansu.

— Wybornie, powtórzę jej to, a teraz przyjmij, sir, jeszcze raz podziękowanie i pozwól sobie powiedzieć do zobaczenia.

Proszę cię, gdy ci będzie bardzo ciężko na sercu—rzekł doktór, wyciągając do chłopca na pożegnanie rękę — przychodź śmiało, będziemy wspólnie radzić.

Dick odczytał wiersze dziewczynie i oświadczył stanowczo, że są jakby dla niego pisane.

— Szczególna rzecz — mówiła mis Mary w swoim pokoju na górze do siebie—myśli tej polskiej poezyi zdaje się wyrwane są z głębi mego serca... On mnie nie szuka, nie goni za mną... Pewnie kocha inną, która mu splata ślubny wieniec. Czyż dla mnie będzie miał łzy i rumieniec?!.. pewnie nie, a jednak takby być powinno... Ciekawa musi być historya tego romansu. — Zamyślona, zaczęła nucić: — „Komu splatasz“...—zatrzymała się.—Zostawże łzy i rumieniec“. „Łzy i rumieniec?... On nie zostawi łez i rumieńca, bo gdyby zostawił, to pewnie oddałby i serce... Czyż można oddawać łzy i rumieniec innej, a serce innej?... „Komu splatasz ślubny wieniec“... Ja nikomu nie splotę!...—westchnęła i, marząc o czarnych wąsikach i ciekawej historyi strasznego romansu, zasnęła.

IV.

W parę dni po wizycie Dicka, młody doktór wieczorem spacerował po Islingstońskiej Upper-street. Spacerując, przypatrywał się młodym mis, zalotnie rzucającym spojrzenia, lub melancholicznie zadumanym. To zależało od tego, z czem której było więcej do twarzy. Niebieskim oczom i bladym twarzyczkom najefektowniej z melancholią, ciemne zaś oczy, smagłe twarze i krucze włosy, zwykle zdobi uśmiech, odkrywający szereg białych zębów, lub mars na czole, mówiący o silnej woli i gwałtownych burzach w sercu.

Sąsiadka doktora z trzeciego domu była blondynką i duże łzawe oczy nie rzucały ognistych płomieni. Rozpuszczone jej włosy, poruszane wiatrem, kołysały się na ramionach w takt łagodnie płynącego chłodu. Dziś smutnie pochyliła głowę, zmęczona, szła wolno, jak ten, który stracił nadzieję. Nie znała młodego doktora, on zaś widywał ją z okna w ogrodzie.

— Być może — pomyślał doktór — szczęśliwe okoliczności pozwolą nam odkryć tajemnicę, niepodobną do odgadnienia dla Dicka...

Po tak stanowczej decyzyi, doktór zawró-

cił i w przyzwoitej odległości postępował ostrożnie za młodą dziewczyną.

Gdy się obróciła, dostrzegł raptownie na jej bladej twarzy różowy promień światła, co zamigotał i zgasł. Zobaczył smutny uśmiech na ustach, niedostrzeżone na przywitanie pochylenie główki, promienie w oczach, przyspieszony chód, nareszcie nagły zwrot obejrzenia się.

Spojrzał w kierunku jej wzroku. O kilka kroków stał młody człowiek o bezczelnym wyrazie twarzy, głupkowato, co miało znaczyć, że tryumfująco, uśmiechnięty. Czarne wąsiki podkręcał w górę, stał, patrzał, lecz nie poruszał się...

— Nie ma jeszcze niebezpieczeństwa — szepnął doktór! — Dziś nie ma, ale może być jutro...

Odprowadził młodziutką mis do końca ulicy. Oglądała się kilka razy---nikt za nią nie szedł. Zamyślona, wracała powoli do domu.

— Mamy tajemnicę w ręku, a teraz należy skalpelem otworzyć czaszkę uśmiechniętemu idyocie. Dlaczego nie poszedł za pięknem dziewczęciem, które upoważniło go do zaczepienia. Dlaczego głupiec ten stał, patrzał i nie ruszał się z miejsca, gdy on za blondynką o niebieskich oczach, wezwany, poleciałby na koniec świata.

Widocznie młode dziewczyny całego świata umieszczają najgłupiej swe serce. Czy to jest przekleństwo ich młodości, czy też rozumu... Niezawodnie przekleństwo ich rozumu, z czego korzystają zawsze umyte i wymuskane osły... Świata nie przerobimy. Dopóki młodym dziewczynom zdawać się będzie, że ładna, choć głapia twarz kryje pod czaszką skarby szlachetności, dopóty serce swe oddawać będą wylizanym osłom...

Chmurny, zły, sam nie wiedział na kogo, czy na siebie czy na młodą mis, czy na wszystkie dziewczyny i na wszystkich wymuskanych osłów na całym świecie, szedł szybko po wielkiej ulicy Islingtonu. W jednej z cukierni, stojących otworem, zobaczył owego osła, odgrywającego rolę lowelasa w Islingtonie. Wszedł, usiadł blizko i zwracając się poprosił o dziennik, przepraszając.

— Bierz pan, ja nie czytuję dzienników. Co mi po wiadomościach dziennikarskich, co mnie mogą obchodzić plotki dnia...

— Wobec?—spytał żywo doktór.

— Wobec niczego; ja żyję dla siebie, a nie dla świata.

— A może i dla młodej blondynki w czarnej sukni, która przechodząc lekko się panu skłoniła. Czy pan ją znasz?

— Czy ją znam? tę małę, ładną blondynkę, rumieniącą się jak wiśnia, gdy mnie zobaczy... Czy ją znam, pytasz się pan?... Jestem pewny, że znam stan jej serca, chociaż nigdy z nią nie rozmawiałem. Biedna mała; zawsze, gdy ją zobaczę, nie mam czasu zbliżyć się do niej.

Lowelas z tryumfem lwa, przypominającym w ruchach osła, nasrożył grzywę.

— Musisz pan być nadzwyczaj zajęty, gdy nie masz czasu na robienie tyle obiecujących znajomości — odpowiedział z szyderstwem w głosie doktór.

— Istotnie o tej porze nigdy go nie mam. Dziś czeka na mnie Nella, jutro Keti... Dość, że dla zakochanej blondynki brak mi wolnej chwili. Zresztą przyznam się panu, że lubię wyczekiwać i doprowadzać do ostateczności... Jeżeli zrywać jabłka, to dojrzałe. Niechże miłość u dziewczyny dojrzeje do ostateczności. do zawrotu głowy, do zapomnienia... Wtedy roztworzę ramiona, westchnę, a od podmuchu tego jabłko miłości dojrzałe padnie w me objęcia. Biedna mała!

— Biedna mała!...—powtórzył z piekielnym uśmiechem eskulap.

— Gdy miłość dojrzeje, poświęcę cały tydzień na zerwanie jabłka...

— I na pożarcie go... Biedna mała — powtórzył raz jeszcze doktór, z widocznym uśmiechem szyderstwa i pogardy.

Odszedł, nie kłaniając się.

— Żal mi tej głupio sentymentalnej dziewczyny, a więcej jeszcze dzielnego Dicka—rozmawiał ze sobą doktór—zakochany do szaleństwa chłopak może się rozpić, zmarnieć!... A można za nią szaleć... Oczy jak wody jeziora modre i głębokie... Gdyby nie Dick i jego miłość, mógłbym sam utonąć w lazurach lub być pochłonięty kaskadą złotych włosów. Co za białość ciała, a jak prześlicznie utoczona... Ruchy kotki, ciche i pieszczotliwe... — Szedł prędko, głośno stukając laską w kamienie chodnika.

Zaledwie przestąpił próg swego domu, wpadła gospodyni.

— Już drugi raz przysłano po pana z pod trzydziestego szóstego numeru. Umierający żadnego innego doktora nie chce nawet widzieć i oświadczył, że nie umrze bez pana doktora.

Wiele rzeczy znajduje się na świecie, które pochlebiają młodym doktorom. Lecz gdy chory nie chce umrzeć bez którego z nich, objaw ten przechodzi zwykłe formy pochlebstwa, a staje się powodem zasłużonej dumy. Z dumą więc i świadomością swej potęgi z wyłącznego przywileju wyprawiania ludzi na tamten świat,

doktór spojrzał na gospodynię, która nie zapomniała ukorzyć się przed jego wielkością i rzekł ze spokojem, świadczącym o sile i pewności.

— Jestem prawie przekonany, że mu nie dam umrzeć.

Gospodyni pochyleniem głowy dała świadectwo swej nieograniczonej wierze.

— Doktór poszedł z podniesioną w górę głową.

— Taki młody, a już bez niego umrzeć nie mogą—dziwiła się gospodyni. — Jeżeli taki sławny, to musi być i przy mojej śmierci — zadecydowała, gdyż nie lubiła być wyprzedzaną przez swych sąsiadów w niczem.

— Doktór, doktór—podawali sobie zcicha wieść o przybyciu młodej znakomitości mieszkańcy z pod 36-go numeru.

Szepty te były przyjęte przez młodego eskulapa jako należna oznaka podziwu.

Otwierają się drzwi i miarowym krokiem z uroczystą powagą wchodzi lekarz. Na łóżku leżał Dick, zbroczony krwią. Niespodziewany ten widok zbił eskulapa z wysokiego tonu powagi. Dick nie stracił przytomności i dobrego humoru; przeciwnie, zdawało się, że pomimo bólu, czuje się szczęśliwym. Nie mogąc mówić głośno, ruchem palców przyzywał doktora, aby się do niego zbliżył:

— Dick, co to jest?

— To właśnie co potrzeba — odpowiedział cicho chory, a pociągając ku sobie powiernika, szeptał mu do ucha: — Zdarzył się szczęśliwy wypadek, potem przyszła nadzwyczajność, a nareszcie poświęcenie.

— Tak zrozumiałeś moje rady,..—zawołał przerażony doktór.

— Tak, alboż można było inaczej zrozumieć?... Może teraz będzie miała dla mnie, chociaż raz w życiu łzy i rumieniec? Sir, cóż?...

— Musi, musi,—pocieszał chłopca rozrzewniony doktór.

Po bliższem rozpatrzeniu otrzymanych razów i indagacyach, okazało się, że Dick szukał sposobności poświęcenia się i znalazł ją. Jeden z biesiadników narożnej piwiarni, na rogu Edward-Street, ośmielił się wyrazić, że maester Silley wraz ze swoją córką, wygadują niedorzeczności po ulicach, aby tym sposobem wyłudzać od głupców pieniądze. Zaledwie skończył, a już od jego twardej czaszki, odbił się ołowiany kubek, rzucony ręką Dicka.

— Do porządku! do porządkn! — Zawołali towarzysze, co w takich wypadkach oznacza, że należy zdjąć surdut, kapelusz, zawinąć rękawy i z odpowiednią liczbą sekundantów i świadków udać się do ogródka za domem.

Tam też, korzystając ze szczęśliwego wypadku, Dick postanowił walczyć za honor rodziny Silley i tam odniósł zwycięztwo, gdyż przeciwnik pierwszy zawołał: Stop! co znaczy dosyć, i omdlewającym głosem przyznał,że ojciec mis Mary mówi mądre rzeczy, których jedynie on nie rozumie, że nie wyłudza pieniędzy, a poświęca się dla idei.

O rodzaju jednak tej idei obaj walczący i świadkowie nie mieli dokładnego pojęcia.

Dick drogo opłacił zwycięztwo, bo nie mógł o własnych siłach zajść do domu. Sekundanci ze znaną w podobych wypadkach gotowością, a przytem w dumnem poczuciu ważności swych ról, odnieśli chorego na swych barkach, w towarzystwie zgromadzonych na ulicy dzieci i kobiet, składając go na łóżku własnego pokoju.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa i uczonej dyagnozy, należało przypuszczać, że młody rycerz-bokser miał dwa żebra lewego boku pęknięte i inne pomniejsze stłuczenia, przy ogólnym stanie zapalnym.

— Nie pozwolę—rzekł stanowczo doktór— abyś tu został w otoczeniu ludzi, którzy nie potrafią cię doglądać. Odstępuję ci mój pokój sypialny, będziesz pod moim bokiem, a wtedy będziemy mieli dosyć czasu pomyśleć nad sobą.

Za całą odpowiedź Dick uścisnął rękę opiekuna i przyjaciela.

Posłano powtórnie po świadków, rozbierających na pobojowisku szczegółowo dzieje odbytego pojedynku. Wezwani, wierni swej misyi i charakterowi, stawili się powtórnie, jeszcze bardziej dumni, lecz mniej pewni w nogach — i powtórnie na swych szlachetnych barkach odnieśli do mieszkania doktora mężnego Dicka, bez asystencyi kobiet i dzieci dla spóźnionej pory. Zimne okłady złagodziły ból, chory zasnął. We śnie widział mis Mary: patrzała na niego, szepcąc; „Tobie splatam ślubny wieniec z róż, lilii i tymianka...“

Nazajutrz rano, pierwszym z odwiedzających chorego, był zmartwiony i przerażony maester Silley. Piekarz, jeden z sekundantów, opowiadział przy rannej sprzedaży bułek, o szczegółach pojedynku i dzielności Dicka.

Mis Mary, jak zapewniał jej ojciec, współczuła z niedolą przyjaciela jej ojca, na co gospodarz domu oświadczył, że obowiązkiem córki jest odwiedzać chorego i czytywać mu wesołe powieści, co poświadczyła obecna gospodyni, a szlachetny propagator nowych idei uznał ten rodzaj okazywania przyjaźni za powinność.

Oczekiwano na mis Mary z niecierpliwo-

ścią. Gdy weszła, wniosła odrazu do mieszkania cichą radość...

Dick miał się lepiej, córka jego przyjaciela coraz więcej ośmielała się w towarzystwie doktora, siadując przy łóżku dobrego i zakochanego w niej chłopca.

Za to propaganda na mieście szła ciężko, spredaż książeczek ograniczyła się do kilku lub kilkunastu sztuk, podczas ciężkiej pracy jednego wieczoru.

Nie było zentuzyazmowamych dla idei, ani ladies, ani gentelmanów, płacących za książeczki szylingami. Bieda powolutku zaczęła otwierać drzwi domu nieustraszonego apostoła. Pierwszy Dick domyślał się istotnego stanu rzeczy.

— Kochany opiekunie mój — tak zawsze nazywał nowozdobytego przyjaciela — w kuferku moim znajdziesz książeczkę bankową z uskładanemi kilkudziesięcioma funtami, z tych dziesięć muszę podnieść koniecznie.

— Na cóż potrzebujesz tak gwałtownie pieniędzy.

— W domu ojca mis Mary, domyślam się, z każdym dniem coraz ciężej. Ojciec filozof i córka dziecko, potrzebują opieki.

— Bezwątpienia.

— A jednak jej teraz nie mają. Mary

pracuje nad siły, stary się gryzie, lecz poradzić nie mogą, nie są wstanie.

— A więc?

— My musimy myśleć i radzić za nich.

— Słucham cię, mój chłopcze.

— Po wydobyciu dziesięciu funtów z kasy banku, pięć zatrzymam dla siebie, a drugie pięć trzeba im posłać.

— Nie przyjmą.

— Mam sposób. Sir niezawodnie masz przyjaciela.

— Nawet kilku.

— Bądź łaskaw udać się do jednego z nich i prosić, aby nam napisał dwa listy do ojca Silley. Jeden z żądaniem paru książeczek jego metody.

— A co ma być w drugim?

— W drugim te wyrazy: „Zachwycony twoją metodą, posyłam ci pięć funtów na cale propagandy i podpiszę się: „Zentuzyazmowany“... Adres tym samym charakterem należy napisać na kopercie. List ten, sir, przyniesiesz tu, a po wysłaniu książek przez ojca mis Mary, wyślemy go jako odpowiedź z pięcioma funtami.

— Jesteś szlachetny i sprytny chłopiec — zawołał doktór.

— Nie uwierzysz, sir — mówił szczęśliwy Dick — co za radość będzie w domu ojca Silley!..

Mary odetchnie na parę tygodni spokojna o wygody ojca. Ona go, sir, bardzo kocha i ma go za świętego, bo też to jest jeden z najszlachetniejszych ludzi... Gdy ich poznałem, Mary miała podarte trzewiki, ale ojcu nie zabrakło nigdy węgli na kominku, herbaty i kawałka mięsa... Nareszcie sam Silley uwierzy, że jego metoda zwyciężyła! A czyż on czego więcej pragnie na ziemi?

V.

Istotnie, po odebraniu listu od jednego z entuzyastów z pięcioma funtami, można było spostrzedz pewien spokój na zwykle smutnej twarzy Mary, a ojciec jej często wybuchał dobrym humorem, opowiadając o wzrastającym nieustannie entuzyazmie dla jego metody. Pierwszy Dick odebrał wiadomość o tym wypadku i wtedy chłopiec poił się cichą radością, jaką sprawia dobry uczynek.

— Sir — rzekła jednego wieczoru do doktora ośmielona Mary, siedząc przy łóżku Dicka— mówiłeś, że jakaś straszna historya przywiązana jest do piosenki, którą byłeś tak dobry przetłómaczyć.

— Nie jest ona zbyt straszną, ale podług

mnie dość ciekawą, przedewszystkiem prawdziwą—odpowiedział.

— Ach, jakżebym ją rada usłyszeć — szepnęła dziewczyna.

Doktór usiadł, patrzał w niebieskie oczy i tak zaczął:

— Pewnego razu zdarzyło się w moim kraju, co się też często dzieje w Anglii i Ameryce, że młodą złotowłosą dziewczynkę, pokochał całem sercem, całą siłą uczucia, dzielny i szlachetny chłopiec.

Tu Dick spojrzał ogniście na Mary, ta milcząc spuściła oczy.

— Dziewczę pieszczone przez matkę, po jej śmierci wychowane przez ojca, przyzwyczaiło się do chłopca. Przyzwyczajenie jest czasami zabójcze dla miłości: patrzymy spokojnie na głębokie przywiązanie, nie poczuwając się do żadnej wdzięczności, z uśmiechem obojętnym na najtkliwsze dowody. Nareszcie uczymy się uważać kochającą nas istotę za naszą własność, za rzecz, która stała się nam niezbędną, lecz dla której nic prócz rozkazów nie mamy.

Chłopiec kochał młodą dziewczynę, kochał i milczał. Wiedziała, że jest kochaną do szaleństwa, mimo to nie miała dla zakochanego nic—nawet uściśnienia ręki, nawet słowa przyjaźni.

Co ją to obchodziło, że ją kochano, że dla niej oddanoby życie, szczęście, młodość, wszelkie rozkosze życia, ciężką pracę dnia i nadzieje przyszłości. Cóż ją to obchodziło, że chłopiec, który ją kochał, był szlachetny, dobry, rad podzielić się z nią ostatnim szylingiem, sam głód cierpieć, byle ją tylko widzieć wesołą i zadowoloną. Dziewczyna nie była egoistką, lecz cóż ją obchodziło?.. Zakochany chłopiec nie miał czarnych wąsików i głupkowato ładnej twarzy, to dosyć, aby się nim nie zajmować, a przy pierwszej sposobności odepchnąć...

Mis Mary zbladła, a Dick tamował oddech, patrząc zdziwiony na doktora, bo nieśmiał spojrzeć na ubóstwianą.

— Dziewczyna — opowiadał dalej doktór — nie była egoistką. Chłopiec ją kochał, odepchnięty cierpiał, smutniał z każdym dniem, zabijała go tęknota. Dziewczyna nie spostrzegała ani szlachetności chłopca, ani jego cierpień. Nie widziała dlatego tylko, że się nie kryła po za czarne wąsiki i połyskujące oczy... Cóż ona temu winna?! Nie widziałaby również, gdyby ciepła krew sączyła się z jego serca dla niej. To on tylko cierpi. Czyż może cierpieć taki pospolity człowiek? Zresztą przyzwyczailiśmy się do jego cichej rozpaczy, do jego usług bez nagrody, do jego cierpień bez współczucia.

Przyzwyczailiśmy się, a dla rozrywki, dla dogodzenia naszej fantazyi, dla zapełnienia myśli, dla przedmiotu do naszych marzeń dziecinnych, szukamy — czarnych wąsików i połyskujących głupkowato oczu.. Dziewczyna w mojej ojczyźnie — znalazła...

Twarz Mary oblała się rumieńcem, aby za chwilę być jeszcze bledszą.

— Nie pytając, co się dzieje w głębi pod czaszką połyskujących oczu — mówił dalej zapalając się lekarz — oddała swe serce bez myśli i sądu, bez zastrzeżeń, bez względu na swą godność i przyszłość. Ten, któremu je oddała, miał czarne oczy, a w nich ogień, który nic nie mówił, świecił tylko jak fosfor, latający ognik, zasłaniając pustkę czaszki i czczość serca.

Zakochany chłopiec w moim kraju co dzień więcej cierpiał, młoda dziewczyna w mojej ojczyźnie coraz więcej odsuwała się od niego, lgnąc do czarnych wąsików, pustej czaszki i połyskujących oczu.

Zakochany chłopiec rzucił się w gwar i wir miejski, aby na chwilę odrętwieć serce. Raz przypadkiem usłyszał jeden wyraz nieprzychylnie wymówiony o tej, którą ubóstwiał. Bez namysłu stanął w obronie zagrożonego w jego mniemaniu honoru swej przyjaciołki; wyzywa potwarcę, zwycięża go, sam jednak schodzi z placu

boju z ciężkiemi ranami, szczęśliwy, że mógł złożyć dowód swego poświęcenia, w nadziei, że może kiedyś uwije dla niego ślubny wieniec z róż, lilii i tymianku... Naprożno, nie stać jej było na wzajemność za rzetelne uczucie, za miłość i poświęcenie, nie stać jej było, gdyż oddała serce za uśmiechy próżności i tryumfy z łatwego zwycięztwa nad nią...

Dick jęknął, mis z przerażenia zamknęła oczy. Cicho się zrobiło w pokoju, tak, że można było słyszeć bicia serc młodej pary.

— Wtedy — kończył rezentuzyazmowany własnem opowiadaniem doktór — przyjaciel nieszczęśliwego chłopca, głośny poeta w swoim kraju napisał:

Komu splatasz ślubny wieniec,
Z róż, lilii i tymianka?
Ty jednemu splatasz wieniec,
Zostawże łzy i rumieniec...

— O, tak, powinna zostawić łzy i rumieniec! Łzy za zmarnowane uczucie, za zdeptaną miłość i poświęcenie, łzy za utraconą przyjaźń, za przyszłość swoją i szczęście w niej, za cichy kątek na starość dla jej ojca, a rumieniec wstydu nad nędzą swej duszy, nad słabością swego charakteru, nad biednem swem sercem i nad swemi marzeniami, które ani jednej szlachetnej

podstawy nie miały!... Rumieniec wstydu niech ją obleje za egoizm, za brak wdzięczności i serca... Lecz cóż ona temu winna, że ubóstwiający ją chłopiec nie ma czarnych wąsików i połyskujących fosforycznie oczu?...

— Ja nie jestem egoistką! — zawołała nagle Mary, zanosząc się od płaczu.

Dickowi na widok łez ubóstwianej i z żalu nad własną dolą dwa wezbrane strumienie łez spłynęły po zmęczonej cierpieniami twarzy. I Dick był piękny, boleścią swą i niemą skargą.

Doktór zmęczony wstał i wyszedł, zostawiając niedomknięte drzwi. Rola jego skończona, reszty dokonają łzy żalu i szczęścia.

Po godzinie doktór z ojcem Mary podkradli się pod drzwi pokoju, w którym leżał Dick, zaglądając przez odchyloną szparę do młodej pary.

Chory przyciskał rękę dziewczyny do ust, a ona, zamyślona, patrzała, jakby przebudzona z dłuższego snu, nie śmiejąc sobie zdać sprawy z odebranych wrażeń, nie będąc pewną, czy jeszcze nie śni, czy już znajduje się wobec rzeczywistości...

— Jeszcze zawcześnie — szepnął doktór — wracajmy.

Po upływie drugiej godziny przyszli, wytężając wzrok i słuch. Chłopiec trzymał rękę

dziewczyny w swej dłoni, gdy ona drugą rozgarniała mu z czoła włosy. Opowiadali sobie coś bardzo zajmującego, gdyż nie słyszeli szeptów z drugiej strony drzwi.

Wzruszony propagator uścisnął rękę młodego doktora, łza rozbita w oku źrenicy zapieczętowała wdzięczność starca.

— Wasza poezya — szepnął — posiada nadzwyczajny czar!...

— Płynie prosto z serca i serce zwycięża— odparł tryumfująco doktór.

VI.

W pogodny dzień letni słońce powoli chowało się za wspaniałą gotycką wieżę dworca kolei Św. Pankracego w chwili, gdy młoda para, prowadząc się pod ręce, wolno wstępowała na górę. Lady jasne warkocze przewiązała niebieską wstążeczką, gładkie czoło i bladą twarzyczkę ustroiła uśmiechem radości. Gentelman, któremu bląd wąsy zaledwo zaczynały okrywać górną wargę, widocznie rozkoszował się swem szczęściem. Robił wrażenie, jak gdyby wziął na nie przywilej lub uważał je za swą wyłączną własność, którą cierpliwością wywalczył, pracą

podtrzymuje i coraz dalej, krok za krokiem zdobywa; dostatek w domu, zabezpieczona przyszłość; przy boku młoda, ładna osóbka, tuląca się do jego ramienia i czasem mu w płowe zaglądająca oczy.

Wchodzili na Upper-street w chwili, gdy młody człowiek z czarnemi wąsikami i czarnemi oczyma, przechodząc z City Road, dostrzegł młodą lady, przyjrzał się jej uważnie, uśmiechnął tryumfująco, zwrócił się i poszedł w ślad za młodą parą.

Mąż nie spostrzegł tego manewru, jak wszyscy mężowie, nietylko na kontynencie, ale i na szlachetnej wyspie. Mąż nie spostrzegł może dlatego, aby jego żona miała większą swobodę obserwować strategiczne ruchy młodzieńca.

Młoda lady nie obejrzała się ani razu, lecz przeczuwała, była nawet pewna, że gentelman z czarnemi wąsami wciąż za nimi postępuje.

Ciekawość zwyciężyła; około Agryculturalhall dama zwróciła się raptownie z mężem wprost w przeciwną stronę. Postępujący za nią gentleman wziął ten obrót za znaczące ustępstwo dla siebie, zatrzymał się i z protekcyonalnym uśmiechem, jak gdyby chciał się witać, wyzywająco patrzał na młodą kobietę.

Mary zarumieniła się z oburzenia. Wzrok

ten i uśmiech wydały się jej bezczelne. Spojrzała, mierząc młodego człowieka z siłą pogardy, na jaką tylko angielka zdobyć się potrafi.

Na tak niespodzianą odpowiedź osłupiał Don-Juan islingstoński, zbladł i wargi przygryzł.

Widziała to młoda mężatka, czując się w części pomszczoną.

— Unikałeś mnie dawniej — mówiła w duchu — nie miałeś nawet ochoty lub czasu zbliżyć się i poznać mnie. A dziś, gdy może przeczuwasz łatwe zwycięztwo, idziesz za mną, napastujesz mnie!...

Sama myśl, że ktoś mógł pomyśleć o łatwem zwycięztwie, denerwowała ją.

Odwróciła się nerwowo raz jeszcze, lecz tłum ludzi zasłonił przed jej wzrokiem Don-Juana.

— Dick, kochany Dick — rzekła pieszczotliwie — czy chcesz mi zrobić małą przyjemność.

— Wszystkie, na jakie mnie tylko stać — odparł dobrodusznie mąż,

— Lubię spacer po Upper-street, wróćmy się raz jeszcze.

— Jeżeli tylko tyle—zawołał wesoło Dick.

Poszukiwania okazały się daremne. Inslingtoński Don-Juan znikł bez wieści. Piękna Mary, żona od roku dzielnego Dicka, nie mogła

powtórnie napiętnować wzgardą swego wzroku człowieka, o którym dawniej marzyła.

Poezyo, czar twój robi cuda — blaskiem błyskawic rozświeca umysły i uszlachetnia serca.

KONIEC.

3000
2000
1 1500

85/19179
60-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
130735

Biblioteka WSP Kielce
0150179